UMCS LUBLIN

Powieść w odcinkach (inna niż w „Kurierze”) Nasza Isaura - szczegóły - str. 2

Konkurs o Bułgarii rozstrzygnięty - str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137—7108 Nr indeksu 36251

Kamena

NR 13 (833) 30 czerwca 1985 CENA 10 ZŁ

Prosić Boga o upośledzenie?

Anna Bocian

O DOMACH dziecka pisze się, żeby wyciskać łzy. Łza, albo jej zapowiedź — to sukces. Bo może po artykule kuratorium wyśle komisję i będzie mniej o jedną łzę na umorusanym policzku? Może będzie jedna rzodkiewka za jedną łzę? Jeden rower więcej za jeden wzruszający akapit? Jeden człowiek z sercem w miejsce człowieka z kalkulatorem? A może nic nie będzie?

Może być że nic nie będzie, gdyż jak wiadomo życie bywa bezwzględne.

Szczerze mówiąc, dzieci z Bystrzycy występują tu tylko w charakterze tzw. tła. Ponieważ rzeczywiście są upośledzone umysłowo ich sprawa rozgrywa się na płaszczyźnie: nauczyciele i wychowawcy, a dyrektor

Na początku, jak to zawsze dla prasy — był bajer Że kłopotów z dziećmi nie ma, bo grzeczne, że obiady lepsze niż w przeciętnym domu, że stawka, że budżet, że brak pomocy dla szkół specjalnych

Na szczęście dziennikarz nie prokurator, może pożywić się niechętnym spojrzeniem, ociąganiem z odpowiedzią, niespodziewanym widokiem brud-

Dokończenie na str. 8—9

Wanda Kwietniewska: „Jeśli ktoś pisze totalne bzdury, to śmieję się z takiej recenzji” — czytaj na str. 10.

Fot. Andrzej Tyszko

Jak sobie pościelemy, tak żyć będziemy

Przed wyborami do Sejmu

ORDYNACJA wyborcza do Sejmu PRL stała się 29 maja faktem legislacyjnym i w związku z tym twierdzi się, że demokracja w Polsce zyskała oto nową i wielką szansę...

Co prawda, to prawda: samo uchwalenie ustawy poprzedziła pięciomiesięczna dyskusja nad jej projektem, prowadzona w różnych środowiskach społecznych, nierzadko w wysokiej temperaturze i ze skutkiem widocznym w ostatecznej redakcji dokumentu. To właśnie pod naciskiem opinii publicznej Rada Państwa zaproponowała zwiększenie liczby organizacji uprawnionych do wysuwania kandydatów na posłów. W rezultacie prawo to przysługuje — w okręgach wyborczych — władzom wojewódzkim wszystkich organizacji politycznych i społecznych o zasięgu ogólnopolskim oraz radom wojewódzkim PRON, obejmując prawie pięćset takich ciał! Konkurencja do 460 foteli sejmowych będzie zatem wielka, dawno nie spotykana. Pod uważnym okiem konwentów — składających się z przedstawicieli kilkunastu głównych sił politycznych i społecznych — odpadnie wielu kandydatów, grupę pozostałych zredukują jeszcze sami wyborcy, ale i tak liczba posłów in spe na ostatecznie ustalonych listach będzie dwukrotnie wyższa (w okręgach) od liczby mandatów

Tylko 15 proc. mandatów (konkretnie — najwyżej 69) obsadzonych zostanie z tzw. listy krajowej: sformułowanej przez Radę Krajową PRON, skupiającej wybitne osobistości naszego życia zbiorowego i także stanowiącej rezultat dyskusji nad projektem Ordynacji, który przewidywał inne rozwiązanie, w postaci list regionalnych...

Prasa codzienna, radio i telewizja — otóż te „szybkie” środki przekazu informacji zdążyły już dokładnie przedstawić literę i ducha Ordynacji. Jak wspomniano na wstępie, w publikacjach tych podnosi się z reguły, że ustawa nie tylko odpowiada społecznej potrzebie demokracji, ale otwiera nowe i wyjątkowo szerokie możliwości uczestnictwa obywateli w kształtowaniu losów kraju, stanowiąc logiczne ogniwo tego historycznego procesu, który zapoczątkowany w Polsce przez IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR, skonkretyzował się już w prawie wyborczym do rad narodowych czy w ustawach o samorządzie pracowniczym i związkach zawodowych. Naturalnie, proces ów miał swoje szersze i nierzadko dramatyczne uwarunkowania, nie został „ustanowiony” w głosowaniu, z dnia na dzień, ale faktem bezspornym pozostaje przecież, że oznaczenie i wyodrębnienie jego wektora, zgodnego z polską racją stanu, było dziełem lewicy, która szybko — co wymowne i ważne — zyskała poparcie środowisk wiążących pomyślność bytu narodowego z silnym państwem socjalistycznym, choć często odległych od marksizmu. Nie jest kwestią przypadku, że w nowym Sejmie kilkadziesiąt mandatów rezerwuje się dla osób nie należących do żadnej z partii stricte politycznych, co powinno dać zresztą do myślenia tym wszystkim, którzy we wzorach zachodniego parlamentaryzmu upatrują klucz do idealnego wręcz ustroju, przymykając oczy na zdominowanie tamtejszego życia politycznego przez wielkie partie (USA, Wielka Brytania, RFN).

Demokratyczne są zatem źródła i cele Ordynacji. Ale czy intencje ustawy mogą spełnić się automatycznie, tylko za sprawą określonej regulacji prawa wyborczego? Wątpić należy Do tego potrzebna jest wola działania każdego z nas, a zatem — realna, pracowita obecność w polu zakreślonym przez zasady powołania nowego Sejmu.

W Polsce Ludowej ogłoszono wiele mądrych aktów prawnych, w tym np. ustawę o ochronie zabytków i dóbr kultury przyjętą w 1962 roku Powszechnie uznawana wówczas za bodaj najlepszą w świecie, rzadko potem respektowana była w całej swej rozciągłości. Łamały ją instytucje państwowe i osoby prywatne, lekceważyły — nawet organa ścigania, które dopiero kilka lat później wytoczyły pierwszą sprawę wandalom. Można jednak przyjąć, że w ewentualnym plebiscycie narodowym większość rodaków zdecydowanie opowiedziałaby się za ideą opieki nad zabytkami.

Doświadczenia przynajmniej kilku minionych lat podpowiadają, że i z demokracją bywa u nas podobnie. Właściwie nie ma dorosłego człeka w Polsce, który nie głosiłby potrzeby demokracji rozumianej potocznie jako panaceum na wszelkie zło, wolność bez granic (szlachecki my ród!) czy coś w rodzaju mebla pod baśniową nazwą „stoliczku nakryj się” Jakoś znacznie rzadziej pojęcie to kojarzy się z wysokim poczuciem odpowiedzialności obywatelskiej, a co za tym idzie — z faktycznym zaangażowaniem się w narodowy czyn społeczny i gospodarczy, wymagający trudu i znoju, poczucia wspólnoty.

Tymczasem Ordynacja, właśnie przez swój demokratyczny charakter, zmusza nas do wielkiego wy-

Dokończenie na str. 2

z notatnika

17 VI. W piątek w południe wyjechaliśmy do Wrocławia, a wczoraj, w niedzielę wieczorem, powróciliśmy. My, czyli dwóch Ryśków i ja, stanowiący lubelską delegację na zjazd Stowarzyszenia „Wisła-Odra". Odpowiednie władze użyczyły samochodu, toteż po niecałych ośmiu godzinach byliśmy już na miejscu, a po drodze jeszcze stawaliśmy kilkakrotnie.

Oto Osjaków za Bełchatowem. Przy drodze piękny zajazd o nazwie „Mazurek". W recepcji hotelowej kupuję prospekt: „Zajazdy województwa sieradzkiego". Obok „Mazurka" województwo to ma jeszcze trzy inne zajazdy: „Na Półboru" w Stawiszczach, „Jambol" w Kolumnie i... „Tumidaj" w Tumidaju, wszystkie zbudowane w ostatniej dekadzie sukcesu. Dwa z nich znajdują się w gestii WSS „Społem", a dwa prowadzą GS-y Samopomoc Chłopska.

Zaopatrzenie w „Mazurku" całkiem niezłe, jest i pepsi-cola w litrowych butelkach (po 250 zł), w skład menu wchodzi przeważnie baranina. Personel sympatyczny, nam np. podaje p. Renata o oryginalnym nazwisku Przygoda, która bardzo sobie chwali pracę, choć mówi, że „uczy się nadal". Rysiek K. proponuje efektowny tytuł do reportażu: *Przygoda w „Mazurku"*. Może innym razem...

We Wrocławiu zakwaterowanie w hotelu „Polonia". Spałem już w nim kiedyś. Kiedyś, to znaczy ponad dwadzieścia lat temu, gdy przyjechałem na Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych. Łapię się za głowę: przecież od tego czasu nie byłem we Wrocławiu! Teraz za późno już na zwiedzanie miasta. Dzwonię do starych znajomych, ale wszystkich jakby wymiotło. Pozostaje barek na dole, lecz ceny nie na naszą kieszeń. Sympatyczna rozmowa z p. Saidem Ederem, Marokańczykiem, studiującym ekonomię (tak, tak, w Polsce!), który znakomicie mówi po polsku.

Następnego ranka: „puk, puk"; wysoka dziewoja o czerwonej twarzy pyta: „Nie mają, panowie, moich ulubionych papierosów, popularnych?" Niestety, nie. Dziewoja przyjechała ponoć z Wielunia kupić ubranie dla dziadka. „Dziadek już puchnie, chyba dwa tygodnie nie pożyje..." Surrealizm najczystszej wody!

Zjazd odbywa się w budynku uniwersyteckim, sala przypomina kościół. Znam ją z telewizji, tutaj filmowano już niejedne uroczystości z udziałem wielkich tego świata.

Referaty, dyskusja. Jest poseł Edmund Męclewski, główny inicjator Stowarzyszenia i przewodniczący Tymczasowego Zarządu Głównego, jest Józef Dubiel, jest Wacław Piątkowski, b. ambasador PRL w RFN. Wśród obecnych przeważają jednak ludzie starsi, no, ale oni mają to Stowarzyszenie rozkręcić; sądzę, że idee Stowarzyszenia powinny szczególnie przemówić do młodych.

Organizatorzy zgotowali uczestnikom wrocławskiego spotkania miłą niespodziankę: obejrzymy właśnie otwartą Panoramę Racławicką. Należę do grona, chyba bardzo nielicznego, tych, którzy tę panoramę już widzieli. We Lwowie, w 1939 roku, dosłownie na kilka dni przed wybuchem wojny! Tym bardziej jestem ciekaw, co zapamiętałem jako dziesięcioletni chłopiec. Okazuje się, że sporo. Rozwodzić się jednak na ten temat nie będę. Panoramę każdy z nas powinien zobaczyć, chociaż nie będzie to z pewnością łatwe, bo chętnych nie zabraknie. Na razie na karcie wstępu widnieje napis, że obowiązuje ona „w okresie próbnego użytkowania". Zbiera się więc doświadczenia...

Zwróciłem uwagę na sam napis: „Panorama Racławicka", widniejący na karcie wstępu. Te czcioneczki coś mi przypominają, kosa, ubarwiona w biel i czerwień — również. Nie sądzę, aby Muzeum Narodowe we Wrocławiu dało się wpuścić w maliny, napis musiał być zaplanowany przez pewnych pogrobowców. W celu jątrzenia? Czy wszędzie musi wciskać się polityka?

Ale dosyć już na ten temat. Sobota, a tu dom towarowy w centrum miasta ciągle otwarty. Bez kolejki można nabyć o godz. 19-ej (!) i kartkowe mięso i kartkowe wędliny. Są TRZY gatunki herbaty, wiele konserw rybnych. W stoisku z garniturami i kurtkami wybór jak przed dziesięcioma laty. Ludzi bardzo niewielu, nawet po alkohol nikt się nie tłoczy, stoją trzy osoby zaledwie. Co to za miasto ten Wrocław?

I jeszcze jedna sensacja. Wśród kosmetyków niektóre znacznie przecenione. Obniżka cen z powodu... nadmiaru zapasów. (!)

Surrealizm goni surrealizm. Podróże jednak kształcą, dla lublinianina jest to raczej dość gorzka nauka.

18 VI. Z dyskusji na XX Plenum KC PZPR cytuję głos Michała Tarczyńskiego, członka KC, rolnika indywidualnego ze wsi Żłobizna, gm. Brzeg, woj. opolskie: „Zakłady pracy narzekają na brak ludzi, a jednocześnie fundują sobie cztery dni wolne od pracy, w tym dwa dni robocze. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie jestem przeciwko wolnemu czasowi dla robotników, ale jak te dwa fakty pogodzić ze sobą? Co na to kadra kierownicza? [...] Czy nie pora, abyśmy wyciągnęli konsekwencje w stosunku do tych, którzy decyzje takie podejmują?"

Owe wolne cztery od pracy dni, o których mówił Tarczyński, to 6—9 czerwca br. Właśnie 7 czerwca, w piątek, mieliśmy zebranie naszej POP w siedzibie ZLP przy ul. Granicznej. Zwróciłem uwagę na pusty parking przy siedzibie Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego (Graniczna 4). Na drzwiach wisiała kartka, informująca, że ów dzień został wcześniej odpracowany. Czyżby słowa Tarczyńskiego odnosiły się i do LPB? Biuro biurem, ale ciekawy jestem, jak było na budowach...

A na samym plenum dyskusja była ostra, myślę, że „Nowe Drogi" ją opublikują, na razie streszczenia wystąpień znam z łamów „Trybuny Ludu".

20 VI. Powaliły mnie korzonki. Pocieszają mnie: „Dobrze, że nie nerki". Pewnie, że dobrze, ale ból potworny, trudno przekręcić się w łóżku. Jest za to czas na czytanie.

● „Słowo Podlasia", z którym niedawno nieco się sprzeczałem (Wersal!), zamieściło w ostatnim numerze dodatek - jednodniówkę uczniów I Liceum Ogólnokształcącego im. J. I. Kraszewskiego pt. „Zza tarczy". Kapitalna inicjatywa! Przypomniała mi się „Młoda Rzeczpospolita", taki tygodnik ukazywał się w 1947—1948 r. w Krakowie pod redakcją Balickiego i zamieszczał prace (publicystyczne, literackie etc.) uczniów szkół średnich. Jakże dzisiaj przydałoby się takie pismo! „Młoda Rzeczpospolita" była szeroko otwarta dla różnych poglądów, młodzież dyskutowała, sprzeczała się ze sobą. Niektóre nazwiska ówczesnych debiutantów zalicza się obecnie do czołówki polskiej żurnalistyki.

Więc gratulacje dla „Słowa" za znakomity pomysł. Zbliża się 70-lecie powstania Liceum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie. Może „Tygodnik Chełmski" skorzysta z doświadczeń „Słowa"? A może zaprosić do współpracy wychowanków tego liceum, spośród których co najmniej kilku, jeśli nie kilkunastu, zajmuje się zawodowo dziennikarstwem?

● Z innej beczki. W „Szpilkach" dowcip tygodnia: „Ja wiem, że ty mnie zdradzasz. Dowiedziałam się również, gdzie i z kim, ale czym ty mnie zdradzasz — nie mam pojęcia".

● W „Życiu Literackim" pokłosie słupskich „Konfrontacji", spotkania kierownictw lokalnych tygodników PZPR, których wychodzi dzisiaj 31. Wysoko je ocenił obecny na obradach Jan Główczyk: „...Wasz sens istnienia to zbliżenia i kontakty. Jesteście najbliżej ludzi. I niejeden wasz tygodnik pobił nakładem tygodnik centralny [...] Waszą siłą jest lokalność, a waszym zadaniem tworzenie więzi społecznych, regionalnych, co wcale nie ma nic wspólnego z regionalnym partykularyzmem".

Alina Tepli, wiceprezes ZG RSW „P—K—R" (nie wiem dlaczego autor tekstu, Stefan Cieply, z uporem pisze Toepli?) stwierdziła, że spośród 31 tytułów aż 17 było dochodowych, chociaż wyraziła zdziwienie pytając: „Jak to się dzieje, że „Kujawy" przy 50 tys. nakładu mają straty, a „Tygodnik Nadwiślański" przekracza 7 mln dochodu?" Sądzę, że odpowiedź jest prosta: o g ł o s z e n i a. Im ich więcej, tym mniejszy deficyt i ewent. większe zyski.

A swoją drogą poszczególne tygodniki tak bardzo różnią się między sobą! Są wśród nich takie, które mogłyby się ukazywać w największych polskich miastach, stanowiąc konkurencję dla innych pism, ale są i takie, które bardziej przypominają biuletyny niż czasopisma. „Wasze pisma są w procesie kształtowania własnej twarzy" — stwierdził Stanisław Gleń, zastępca kierownika Wydziału Prasy, Radia i TV KC PZPR. Nic dodać, nic ująć: twarz może być urodziwa i szpetna, ale dodam, w człowieku nie tylko sama twarz przemawia!

● W „Tygodniku Powszechnym" kolejny oddźwięk na uprzednio zamieszczony w tym piśmie tekst pt. „Pogrzeb Marszałka". Emocje nie ustają... Ale chodzi mi o coś innego. „TP" przypomniał postać Juliusza Osterwy. 23 czerwca mija właśnie setna rocznia urodzin tego znakomitego artysty, patrona lubelskiego teatru. Rocznic jest sporo, ale o tej warto i w naszym mieście pamiętać.

M. A. Jaworski

TEGO jeszcze w „Kamenie" nie było! Już w następnym numerze otwiera swe podwoje „HYDE PARK" i tamże znajdziecie pierwszy odcinek najbardziej współczesnej powieści pióra Mariana Jaskra pt.:

„Nasza Isaura"

Akcja pierwszego odcinka rozgrywa się dosłownie przed kilkoma dniami, w środę, 19 czerwca br. Oto fragmenty:

„Iza dorwała się do lektury. Leon chciał jej wyrwać z ręki „Kurier", bo na pierwszej stronie Bronisław Waligóra rekomendował mający się właśnie odbyć mecz piłkarski między Motorem a Widzewem, ale Iza mocno trzymała gazetę. [...]

— Posłuchaj, posłuchaj, kochanie!

Leon z trudem pohamował się od ziewnięcia.

— Znowu o Homo? Został pierwszym tenorem w operze włoskiej? A może kolejna paskuda: dinozaury pojawiły się w Ogrodzie Saskim? Już lepiej nalej zupę do talerza. [...]

— Niewolnicę ze mnie zrobiłeś, współczesną niewolnicę! To ja jestem tą Isaurą. Pracuję, gotuję, sprzątam, stoję w kolejkach, wychowuję dzieci... Za co ja tak cierpię? Ale nie bój się! Jeszcze niejednemu potrafię się podobać. Wczoraj w trolejbusie jakiś szczeniak proponował mi wspólną kolację. „Nie pożałuje pani", tak mówił, a ja głupia...

— Mamo, a ty nie masz kolacji w domu? Wczoraj były fajne klopsiki. [...]"

Zachęcamy do lektury, choć powieść przeznaczona jest głównie dla dorosłych. Marian Jaskier pisze ją z odcinka na odcinek, wszystko więc może się w niej przydarzyć. Znajdziecie autentyczne imiona i nazwiska, znajome realia, słowem SAMO ŻYCIE! Z góry radzimy Czytelnikom, aby zarezerwowali sobie u kioskarzy odkładanie poszczególnych numerów „Kameny" do teczek, zwłaszcza że okres urlopowy tuż, tuż!

Przypominamy: „Nasza Isaura". Tylko w „Kamenie"!

Jak sobie pościelemy, tak żyć będziemy

Dokończenie ze str. 1

siłku — od początku do końca kampanii wyborczej. Ustawa głosi, że kandydatami na posłów mogą być tylko osoby o nieposzlakowanej postawie moralno-politycznej, obdarzone odwagą cywilną i umiejętnością prezentowania własnych racji, nie karane za przestępstwa umyślne, aktywne społecznie, akceptujące konstytucyjne zasady ustrojowe PRL, choć niekoniecznie zgadzające się z aktualnym kursem w polityce społecznej lub gospodarczej. Sporo czasu i energii trzeba będzie poświęcić, by wyłonić kandydatów spełniających te wszystkie kryteria, po raz pierwszy tak ostro zarysowane i obejmujące tak różnorodne cechy charakterologiczne i profile obywatelskiej postawy.

Ponadto Ordynacja wymaga, by każdy z kandydatów przedstawił się wyborcom, na zebraniach lub za pośrednictwem środków masowego przekazu, jeszcze przed umieszczeniem ich nazwisk na liście. Opinie i uwagi obywateli uczestniczących w tych spotkaniach przekazywane będą do konwentów wyborczych, które zobowiązane są do rozpatrzenia owych sygnałów. Oczywiście, konsekwencja tej procedury może okazać się wycofanie kandydatury przez organizację rekomendującą. Ordynacja stanowi więc rodzaj demokratycznej przekładni, gwarantującej wybranie do Sejmu ludzi darzonych najwyższym zaufaniem społecznym. Rzecz w tym, by z niej skorzystać.

Potem, po ustaleniu obu list, będziemy głosować — bezwarunkowo indywidualnie i osobiście. A posłem zostanie ten kandydat, który otrzyma „więcej niż połowę ważnych głosów, jeśli w głosowaniu wzięła udział co najmniej połowa uprawnionych w danym okręgu wyborczym", lub — w przypadku listy krajowej — „co najmniej połowa ogółu uprawnionych do głosowania".

Opublikowanie Ordynacji w „Diariuszu Sejmowym" zwalnia z obowiązku referowania innych jej artykułów, przewidujących m.in. sytuacje, w których powinno dojść do wyborów ponownych i uzupełniających. Zwróćmy tylko uwagę, że w uzasadnionych przypadkach wyborcy mają prawo do oprotestowania wyborów przed Sądem Najwyższym, a ponadto mogą występować o odwołanie posła z Sejmu, gdy np. mandatariusz utraci nagle energię i inicjatywę, które z takim rozmachem prezentował w staraniach o miejsce w budynku przy warszawskiej ul. Wiejskiej, albo gdy popełni czyn uwłaczający jego funkcji. Pomijając całą procedurę odwoławczą zróżnicowaną w zależności od listy, z której wyłoniony został poseł, podkreślić warto, że właśnie sami wyborcy — a nie tylko instytucje rekomendujące — mogą wystąpić z wiadomym wnioskiem, jeśli podpisany on zostanie przez minimum 10 proc. wyborców danego okręgu.

Można zatem powiedzieć, że spełniając społeczny postulat: „Nic o nas bez nas", Ordynacja zarazem aktualizuje i w specyficzny sposób konkretyzuje pewne stare polskie przysłowie, które obecnie brzmieć powinno: „Jak sobie pościelemy, tak żyć będziemy". Zapewne, nie wypada żartować w obliczu tak ważnego wydarzenia, ale ostatecznie i naprawdę, to niby od kogo zależy sens i jakość naszego życia?! Owszem, nawet najlepszy parlament jest jedynie ogniwem w systemie władzy państwowej, ważnym bo ważnym, ale zdeterminowanym przecież konfiguracją sił politycznych i charakterem ustroju danego kraju, jego potencjałem ekonomicznym. Ale też nie chodzi tu przecież o mitologizowanie roli Sejmu. Chodzi natomiast o wskazanie, że Ordynacja wyborcza umożliwia wyłonienie takiej instancji ustawodawczej i kontrolnej, która będzie ważnym czynnikiem reformowania i rozwijania polskiego bytu zbiorowego. Już Sejm VIII kadencji przekonał nas, jak wiele na tej drodze zależy od mądrości i odwagi posłów.

Prawdą pozostaje, że Ordynacja nie spełni wszystkich oczekiwań tych kręgów społecznych, które wiedzę o realnym świecie czerpią z irracjonalnych iluminacji. Ale to już kwestia odrębna, przekraczająca nasze możliwości poznawcze, usytuowana wysoko, w sferach metafizycznych, gdzie wystarczy słowo, by Polska stała się drugą Japonią, a półki sklepowe wypełniły się tonami schabu, flaków oraz cytryn.

W 15-lecie śmierci Konrada Bielskiego

WIERNY ŻYCIU

KONRAD Bielski, wieloletni członek kolegium redakcyjnego „Kameny" — przynajmniej dla mojego pokolenia — należy do tych, o których nijako jest mówić w czasie przeszłym. Gramatyce stałoby się zadość, ale sens by umknął. Był? W ilu rozmowach, refleksjach, dygresjach, żartach **jest** a przecież człowiek to nie tylko fizys wymierna naocznie.

Zastanawiam się nad obecnością nieobecnych. Czym na lubelskim bruku Bielski jest? Na to pytanie niemal odruchem odstukuję: „Reflektor". Owszem, ważny w Lublinie młodej i poetyckiej inwencji wystrzał, nawet w encyklopedii (PWN, 1967) wzmianka, i prawda, że kiedy niekiedy minimalizuje się jego znaczenie, jakby z odczuciem dysproporcji wobec rozmiaru nie spełnionych możliwości, ale też prawda, że wyszły go tylko cztery (numerowane, pierwszy nienumerowany nie liczy się w rejestr) numery, więc siłą faktu coś to koło nobliwej efemerydy.

Natomiast nie efemerydą była obecność Bielskiego na lubelskiej agorze. On sam nie tylko był, ale musiał być. Obecnym, widzianym, słyszanym. Musiał, żeby wydarzenie, w którym się jego uczestnictwo przewidywało, znalazło pełny wyraz. Był potrzebny Lublinowi, jak Warszawie Franz Fischer, który — nie napisawszy niczego — przeszedł do historii literatury. Za duże słowo? Anegdota też jest historią.

Dzisiaj się tego nie odbiera. Takie rysy jak indywidualność nie tworzą obrazu współczesności, ponadto Bielski, dzisiejszemu czytelnikowi udostępniony za pośrednictwem sygnatury bibliotecznej, może nie przekonać również ze względu na niewielki ilościowo rozmiar tzw. puścizny, ale wczorajszego i przedwczorajszego („Wczoraj i przedwczoraj" to tytuł zbioru jego wierszy) literackiego Lublina nie można sobie wyobrazić bez tej zażywnej, pantagruelicznej postaci.

Pantagruelicznej. W galerii osób literackich swego — a nie tylko swego — czasu, Bielski wyróżniał się rozmiarem fizycznego „ja". Lubił w dobrym gronie dobrze zjeść, jeszcze lepiej wypić, był kimś, kogo słówko francuskie nazywa „viveur", co dokładnie przekłada się na „żyjacz". A przede wszystkim uwielbiał rozmowę. Słowo bezpośrednio mówione. Było ono jego dziedziną twórczości, z czasem nawet chętniej uprawianą niż słowo pisane. Pisanie wymaga zamknięcia się w sobie, trybu życia niemal ascetycznego, a gdzie to było do Bielskiego, który jak Sokrates poza rynkiem istnieć nie umiał. Przedwojenny Lublin widział go „u Rutka", powojenny w tej samej kawiarni przemianowanej na „Lublinlankę". Ile żartów, dykteryjek, wspomnień o każdej z lubelskich postaci!

Fot. Archiwum

Bielskiego można było nazwać chodzącą encyklopedią anegdoty. A pamięć? Obszerne fragmenty monologów z „Qui pro quo" szły z rękawa. Kiedyś pod adresem Gralewskiego rzucił żartobliwie: „Wacio mówi, że ma pamięć ejdetyczną, dynamiczną i wielowektorową. Ja mam dobrą". Zdarzyło się, że Gralewski zremisował. Kiedyś zwrócił się do Bielskiego w pewnej sprawie organizacyjnej, ale z miny tego wynikło, że Konrad nie wie o co chodzi. Wtedy Gralewski: „Kolega Bielski byłby zorientowany w pracach zarządu, gdyby przynajmniej czytał te pisma, które jako prezes podpisuje".

Bo Bielski tylko „podpisywał". Zadziwiające, jak ten dziekan Izby Adwokackiej i wieloletni prezes oddziału Związku Literatów Polskich mało miał poszanowania dla wymagań pragmatyki administracyjnej. To nie było życie. W postępowaniu Bielskiego znalazła przedłużenie — oczywiście złagodzona upływem lat — światoburcza i anarchistyczna postawa wyrażona w jego młodzieńczych wierszach.

Prawda, nie było w niej konsekwentnego katastrofizmu Czechowicza, ani nieprzejednanego buntownictwa Łobodowskiego, ten sprzeciw był bardziej literackim kostiumem, aniżeli wyrazem filozoficznego stanowiska, uderzał w styl praktyki poetyckiej, nie w światopoglądowe credo. Ale właśnie na jego przykładzie można mówić o buncie mieszczanina o tyle bardziej zaangażowanym w słowo, im mniej dla niego było miejsca w realiach.

Mówi się o awangardowości grupy „Reflektor". Tak, nie była to jednak awangarda w sposobie użytkowania poetyckiego wyrazu, jaki widać na przykładzie Peipera, Brzękowskiego, Przybosia, lecz nowość sprzeciwu wobec konwencjonalnych postaw społecznych, realizowanego środkami artystycznie raczej konwencjonalnymi. To właśnie należy wyraźnie podkreślić, nie zapominając, że z samym słowem „awangarda" nie łączy się automatycznie dodatni znak kwalifikacyjny.

Bielski czytał dużo, był dobrze zorientowanny w zjawiskach współczesnej poezji, ale takiego „Reflektora" nosił i kolportował wśród znajomych. Był jednym z najskuteczniejszych heroldów młodości swej generacji i najoddańszych wyznawców poetyki przekazanej tradycją. O pewnych aktorach mówi się, że nie potrzebują grać, wystarcza, żeby byli na scenie. Tak właśnie Konrad Bielski **był** w lubelskim światku literackim. Kamieniarz sporządzający napis na jego grobie, na cmentarzu przy ulicy Lipowej, pomylił się. Jako datę śmierci zamiast 25.VI.1970 wyrył 25.VII.1970. Szkoda, że — ale o wiele więcej — nie „pomyliło się" samo życie. Tak był mu przecież wierny.

Zygmunt Mikulski

Konrad Bielski

DO PRZYJACIÓŁ

W teatrze, kabarecie, kochanki pokoju,
W zaułkach ciemnych ulic, kinie, lupanarze,
Po nocy nieprzespanej i dni szarych znoju
Widzę wasze cyniczne i zmęczone twarze.

Gdy szmery kawiarniane ukoją się w ciszę
I lecą myśli szybkich jadowite strzały,
Jak suflera w teatrze — głosy wasze słyszę,
Niezrównanie wesołe i sprośne kawały.

Bo życie jest jak finał sprośnej anegdoty,
Tym ciekawsze, im więcej w nim się pieprzu zmieści.
Bo piersi nagich krągłość i ramion oploty
Są fragmentem pisanej przez diabła powieści.

Więcej śmiechu z miłości i z samego siebie,
A soboty i piątki będą jak niedziele.
Więcej kwiatów na ziemi, więcej gwiazd na niebie,
Więcej łgarstwa i kpiarstwa — młodzi przyjaciele

Chłostajmy swą ironią wierzenia i sądy,
Biczujmy ostrym śmiechem nasze własne dusze,
My jesteśmy pustynne i jałowe lądy,
Wiatry ostre i mroźne w światów zawierusze.

Nasze życie jak fala rzek miejskich się toczy,
Nasze myśli się snują, jak po dachach koty,
Włosami kobiecymi zasłaniamy oczy,
Niezdolni do niczego krom jednej pieszczoty.

Lecz wierzę, coś się stanie na lądzie, czy morzu,
Coś co jak burza przejdzie, jak wicher zaśwista,
Że któryś z nas nareszcie na nieprawym łożu
Potwornego nad ranem spłodzi antychrysta.

1925

DYTYRAMB SZATAŃSKI

Patrz — oto idą znowu tłumy na Golgotę.
Na Boga. Cóż się stało. Chrystus śmiał się z krzyża.
Trwogą zdjęci uczniowie zanosili skargi
do Ojca. Piotr przerażon zaparł się raz czwarty.
Łotr na krzyżu odwilżyć chciał spieczone wargi,
wina pełen roztruchan podały mu czarty.

Trzeciego dnia zmartwychwstał Judasz Iskariota
i poszedł do Emaus, gdzie chciał spotkać Pana.
W wieczerniku zebrała się miejska hołota,
śpiewali dzikie pieśni, hulali do rana.

Magdalena swe piersi jędrne w błędnym szale
krwawiła, skruchę czyniąc u stóp Kaifasza,
a Tomasz nawet wtedy nie chciał wierzyć wcale
i sprawdzał siną pręgę na szyi Judasza.

Na ziemię z nieba upadł całun obłąkańczy.
Hejże, będziemy pląsać. Niech zabrzmią tympany.
Patrz — nawet stare słońce cieszy się i tańczy.
Niebiosa oszalały. Sam Bóg jest pijany.

Zbudź się, Piotrze. Z tajemnic już spadła zasłona.
Zagróź wzrokiem zamglonym bezmyślnie i wiernie.
Uwierz wreszcie, Tomaszu. Patrz — Chrystus nie kona.
Wyrwał gwoździe i z głowy swojej zrzucił ciernie.

Śmiej się, Matko Bolesna, tak jak Syn się śmieje
Józefie, w górę kielich, porzuć warsztat pracy.
Niewiasty, niech wasz taniec zbudzi Galileę,
w wieczerniku już przecież ucztują pijacy.

Magdaleno, rozpłomień pocałunków żary,
wylej na biesiadników wonności amforę.
Rzesze, tłumy, uczniowie, szalejcie bez miary
Przeklinajcie-że miłość, cnotę i pokorę.

Tan wasz dziki, obłędny piekła nie zatrwoży.
Nie oślepi Duch Święty światła manifestem.
Nie przeklnie was Jehowa, nie zbawi Syn Boży.
Bogów nie ma, zła nie ma, was nie ma. Ja jestem!

1921

Między Tygrysem a Eufratem (2)

Polskie drogi

Wiesław Horabik

PRZEZ Mezopotamię wiodły i wiodą nadal różne polskie drogi. Wiodły na pewno i znacznie wcześniej, niż drogi żołnierzy w czasie wielkiej wojny. Wiodły, w dawnej przeszłości, przez Imperium Sułtańskie, którego moc i tu się rozciągała. Turecka była ta ziemia przez wieki całe, a na brak kontaktów z półksiężycem dawna Rzeczpospolita narzekać nie mogła. Sąsiadowano w ustawicznych, krwawych starciach o przynależność ziem kresowych, o dominację, strefy wpływów i o wiarę, odmienną i nieprzejednanie sobie wrogą. Sułtan, ogłaszając świętą wojnę z Lechistanem, zwoływał wojowników z najdalszych zakątków swego cesarstwa. I szli „janczarowie i spahisowie, tłumy pospolitego ruszenia z Bałkanów, z gór Rodopu, z Rumelii, z Pelionu i Ossy, z Karmelu i Libanu, z pustyń arabskich, znad brzegów Tygru [...]" — jak donosi Sienkiewicz. Ale nie zawsze były to wówczas kontakty dobrowolne. Zdarzało się, że ten i ów, zbiegły z tureckich galer, zmuszony był przemierzyć także pustynne szlaki Arabszczyzny w swej drodze do kraju. A w naszą znów stronę ciągnęły w czasie pokoju długie kupieckie tabory z wonnościami Wschodu, tak wówczas cenionymi. W późniejszych wiekach nieliczni, ale uparci poszukiwacze przygód odwiedzali, już świadomie, ten region świata, choć bliskość Jerozolimy, najczęściej głównego celu ich wypraw oraz nieprzychylność tej ziemi rzadko popychały ich do błąkania się po niej. Między wojnami, polscy badacze starożytności odkrywali tu ruiny dawnych miast, świątyń i pałaców. Pierwszą jednak masową obecnością Polaków na terenie dzisiejszego Iraku był przemarsz wojsk II Korpusu, w drodze ze Związku Radzieckiego, przez Iran do Palestyny, a potem do Włoch i ich ciężkie lato w obozie pod Mosulem w 1943 r.

Tędy wiódł ich marsz bojowy do ojczyzny, której wielu z nich miało już nigdy nie zobaczyć.

Zbaczamy z głównej, szerokiej drogi łączącej Bagdad z Mosulem, drogi ruchliwej, pełnej samochodów dostawczych, drogi łączącej Turcję z Irakiem, jednej z niewielu wylotowych obecnie dróg z tego kraju. Kończy się już upalny, wiosenny dzień, pełen kurzu i spalin, odarty z zapachu kwiatów tak charakterystycznego dla tej pory roku w Europie. Wielkie, jasne słońce przybiera wolno kolor coraz czerwieńszy i chowa się za samotny grzbiet niewysokich gór, przecinających w poprzek całą równinę. Gdzieś niedaleko stąd drzemią ruiny Hatry i na wpół jeszcze pokryte piaskiem szczątki Aszur, pierwszej stolicy Asyrii. Czy żołnierze II Korpusu też je oglądali? Co myśleli chodząc wtedy po tych śladach upadłych cywilizacji, w czasie, gdy na ich oczach waliła się ich własna? A może nie mieli czasu na zadumę, ogarnięci lękiem i niepokojem o bliskich, uwikłanych w mrok nocy ciemnej, tak daleko stąd?

Droga, którą teraz jedziemy, wiedzie na Sherquat, a potem na Quajarę, małą wioskę, która stanie się tak ważnym punktem na polskiej drodze przez Irak. Do Mosulu jest stąd może siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt kilometrów. Ale w pobliżu nie ma żadnych zabudowań. Jest tylko płaska, piaszczysta równina, nagrzana słońcem do bólu i ten jedyny, samotny grzebień gór, nie dających cienia, ani chłodu. Właśnie to miejsce mieli na myśli, opisując w listach i pamiętnikach udrękę mosulskich dni i nocy oraz trudności w pustynnym bytowaniu. Gdzieś niedaleko stąd jest teraz niemiecki kamp, z budynkami pełnymi chłodu klimatyzowanych wnętrz, z elektrycznością i bieżącą wodą. Nasi żołnierze spali tu w namiotach, często na gołej ziemi. Pierwsze, niepewne światełka wioski zaczynają zapalać się za zakrętem, w szybko gęstniejącym mroku, a my wykręcamy jeszcze w bok, kierując się znów w głąb pustynnej płaszczyzny. Już niedaleko i zupełnie nieoczekiwanie dostrzegamy samotny kontur kapliczki, a obok niej płaski asfaltowy parking dla samochodów. Zatrzymujemy się i wysiadamy. Jakże trudno odtworzyć sobie na tej płaszczyźnie rojne i gwarne obozowisko: strome ściany namiotów, rzędy samochodów, kawałek placu apelowego, wysoki maszt z biało-czerwoną flagą. Nie opodal bulgoce płynny, naturalny asfalt, którego kopalnia znajduje się tuż obok. Na wpół zasypane piaskiem resztki kamiennych kwadratów, niewielkie drzewo z zatartymi napisami i tylko ta kapliczka, samotna, porzucona i jakby teraz nieistotna, z napisem:

REGINA POLONIA
ORA PRO NOBIS

Maryi na chwałę, Braciom na pokrzepienie serc, wznieśli żołnierze 1 Batalionu Strzelców Karpackich, jako znak swego postoju w marszu bojowym ku Polsce. Kwiecień 1943.

Obelisk otacza wokół żelazny, pordzewiały łańcuch i nadłupane cokoliki. W tym upalnym zmierzchu ogarnia nas powaga i jakby smutek, i jakby nagłe poczucie przemijania czasu i daleka świadomość pogmatwania polskich losów. Ich groby są nie tylko tu; są w Bagdadzie, na wojskowym cmentarzu, w kwaterze brytyjskiej, są w Mosulu, nieliczne i zapomniane, są w Kirkuku i są na pewno takie, o których pamięć już zaginęła.

Jeszcze ich tu pamiętają. Starsi Arabowie opowiadają o polskich żołnierzach, dla których robili dostawy. Znają nawet kilka najprostszych słów. Mówią o tym, jak byli przystojni, szarmanccy i grzeczni, i pytają, czy nadal w polskiej armii tak wielki podział dzieli oficera od żołnierza. Mówią też o alkoholu, do którego mieli skłonność, i o męstwie, którego nieraz dawali dowody. Jeden ze starszych braci naszego znajomego wspomina, jak to będąc policjantem w Bagdadzie często pomagał naszym żołnierzom. „Robiłem to chętnie, mówi, gdyż byli uczciwi. To się czuło. Byli inni, niż wszyscy inni. Byli tak bardzo inni od Anglików".

Nasza wędrówka po dawnym obozie polskich żołnierzy dobiega końca. Słońce schowało się już za niepewne pasemko gór, a samotna kapliczka przeraźliwie szybko ginie nam z oczu, za kolejnym zakrętem. Tylko bulgoce w ciemności rozpalony asfalt. Musimy już wracać do Erbilu. I tak jest to jedyna droga, przez prowizoryczny, pontonowy most, która może nas teraz tam zaprowadzić.

Długo w nocy rozmyślam jeszcze o czasie, który upłynął od tamtych chwil, i dziwię się fenomenowi, który nas tutaj przyprowadził w tyle lat później.

Wraz z objęciem władzy przez Saddama Hussajna i umocnieniem socjalistycznej partii BAAS nastąpił znaczny rozwój stosunków handlowych i kooperacyjnych Iraku z państwami naszego obozu. Znaczne miejsce w tej wymianie zajęła Polska. Od początku lat siedemdziesiątych, obok archeologów, którzy już wcześniej prowadzili badania nad historią kraju, pojawili się tu polscy inżynierowie, technicy i budowniczowie. Prawdziwy boom polskich inwestycji nastąpił w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Liczbę Polaków zatrudnionych wtedy na budowach eksportowych w tym kraju oceniano na dwanaście tysięcy. Różne przedsiębiorstwa przysyłały tu swoich pracowników, a organizacją budów zajęły się centrale: Polimex-Cekop, Polservice, Budimex. Pracowano samodzielnie i w kooperacji z innymi. Pracowano ciężko.

Wybuch wojny z Iranem i potęgujące się trudności ekonomiczne Iraku

KALISKIE SPOTKANIA

Lidia Wójcik

OD dawna już słyszało się płynące zewsząd narzekania, że pośród licznych u nas festiwali teatralnych, tematycznych, dokładnie ponazywanych, usystematyzowanych, Kaliskie Spotkania Teatralne pozostają jedynym festiwalem eklektycznym, bez ściśle określonej formuły. Nie wiem, czy to akurat źle. Mówiło się przy tym, że jest to po prostu festiwal „dla ludzi". Słusznie. Teatr w ogóle powinien być chyba dla ludzi.

Nie wiadomo, czy to za sprawą tych prasowych narzekań, czy może ulegając jakimś innym powodom, tegorocznym 25 Spotkaniom Teatralnym w Kaliszu przypisano formułę festiwalu sztuki aktorskiej, która zdecydowała, oczywiście, nie tyle o doborze przedstawień, czy teatrów, co raczej o kryteriach oceny przedstawień i kryteriach przyznawania nagród — wyłącznie za kreacje aktorskie. Tyle więc zmian natury formalnej. Poza tym wszystko miało odbywać się wedle od dawna obowiązującej urzędowej definicji, mówiącej, że festiwale są świętem teatru, manifestacją tego, co w życiu teatralnym najciekawsze, najbardziej wartościowe. Powinny pokazywać i estetyki teatralne, i życie teatralne, i w ogóle samo życie.

Wszystko więc odbyłoby się „normalnie", gdyby nie ta formuła festiwalu sztuki aktorskiej, która pozwoliła na urządzenie towarzyszącej spotkaniom trzydniowej sesji poświęconej aktorstwu, przygotowanej merytorycznie przez Andrzeja Wanata. Sesje te, choć w wielu momentach dosyć daleka od doskonałości, można uznać za ważne wydarzenie i to nie tylko festiwalowe, ale w ogóle za wydarzenie w polskim życiu teatralnym. Od lat bowiem nie podejmowano w Polsce rozmów o aktorstwie. O aktorstwie się nie myśli i właściwie nie pisze i rzadko się mówi, a przecież rozmowa o aktorstwie jest rozmową o teatrze w ogóle. To prawda, że sztuka aktorska z trudem poddaje się opisowi, co przed laty już zauważył Jan Kreczmar. W polskiej krytyce nie ma tradycji pisania o aktorstwie, sprawia to najwięcej kłopotów, nie posiadamy po temu odpowiednio wykształconego języka.

Sesja kaliska stała się zatem jakąś próbą poszukiwania języka, ustalania kryteriów, wedle których można by zacząć rozmowę o problemach polskiego aktora. I trzeba przyznać, że pojawiło się wiele głosów i opinii interesujących, czy przynajmniej zasługujących na uwagę. Wypowiadali się krytycy (m.in. Jacek Sieradzki, Tadeusz Nyczek, Janusz Majcherek) o własnych niemożnościach i nieumiejętnościach w zakresie opisywania zjawiska, o sytuacji uwikłania aktora w rozmaite układy: społeczne, polityczne. O wykształceniu, światopoglądzie i wreszcie umiejętnościach zawodowych aktorów. Reżyserzy (Izabela Cywińska, Bogdan Hussakowski, Mikołaj Grabowski) próbowali stawiać pytania, kim jest właściwie aktor? Czy może być dla reżysera partnerem? Jaki jest jego udział w budowaniu przedstawienia? Wreszcie, czy możliwe jest aktorstwo zespołowe? Mówiono o odpowiedzialności i moralności aktora, o etyce zawodowej aktorów. I w końcu głos zabierali sami zainteresowani — aktorzy (Jan Peszek, Mikołaj Grabowski) próbując powiedzieć coś o swoich zawodowych pragnieniach i ambicjach, o roli i znaczeniu swojego zawodu, pozycji społecznej. Pojawił się problem, czy aktor to ktoś „wybrany", inny, czy to po prostu najzwyczajniej zawód. Czy ważniejsza w pracy aktora jest profesjonalność, czy może natchnienie? Wreszcie mówili pedagodzy ze szkół teatralnych (Eugeniusz Korin, Andrzej Wanat, Waldemar Wilhelm) o sprawie przygotowania zawodowego aktorów, ich kształcenia i trudności rozmaitej natury, jakie temu towarzyszą.

Dyskusje, choć bardzo żywe, interesujące, nie przyniosły właściwie żadnych uporządkowanych wniosków, ale liczba problemów, trudnych spraw, jaka się w nich pojawiła, świadczy, jak bardzo rozmowy o aktorstwie są potrzebne.

Przy omawianiu festiwalowych przedstawień należałoby przyjąć aspekt aktorstwa i w tych kategoriach pisać o spektaklach. Właśnie, tylko jak o tym napisać?

Trudno omówić te przedstawienia w jakimkolwiek porządku tematycznym, problemowym. Wypadnie może zacząć od Czechowa, który rozpoczynał i kończył blok festiwalowych przedstawień. Zaczęto „Trzema siostrami" Teatru im. Bogusławskiego w Kaliszu, ostatnim przedstawieniem był „Wiśniowy sad" w reżyserii Krzysztofa Babickiego z Teatru „Wybrzeże" w Gdańsku. Kilku aktorów w tym przedstawieniu wyróżniono nagrodami, choć najbardziej istotnie zaznaczyła swoją obecność Halina Winiarska. Ta aktorka nawet nie musi doskonale grać, ona po prostu jest na scenie, istnieje za sprawą urody, sposobu poruszania się, patrzenia, za sprawą czegoś, co pewnie nazywa się osobowością. Na „Wiśniowy sad" wypada również patrzeć jako na kolejny etap w twórczości Krzysztofa Babickiego. Z radością obserwuję jak jego przedstawienia bywają coraz bardziej sprawne, jak zmierzają ku jasności i czystości teatralnego języka, ku syntetyczności zdarzeń scenicznych, ku pewnym formom teatru poetyckiego, uogólniającym, wskazującym na wszechczasowość i wszechprzestrzenność scenicznych zdarzeń. Przedstawienie to przekazuje nie tyle treść dramatu Czechowa, co raczej pokazuje sposoby kształtowania postaci i wypełnione jest tą dziwaczną atmosferą, jaka znamionuje dramaturgię Czechowa. Gdzie śmiesznо i straszno, gdzie kończy się jakaś epoka, jakiś świat, gdzie nostalgia i smutek, niepewność i chandra.

przyhamowały nieco ten rozwój polskiego budownictwa w Mezopotamii. Pozostało jednak nadal wiele firm i wiele obiektów budujemy nieprzerwanie. Władze irackie wysoko cenią sobie tych, którzy nie opuścili ich w tej trudnej chwili. Wielu naszych rodaków znalazło tu okazję do finansowego wzmocnienia i poznania egzotycznego kraju.

Przyglądałem się polskiej budowie przez dwa lata. Nie było to, rzecz jasna, bierne podpatrywanie. Pracowałem na niej jako tłumacz, będąc pośrednikiem między lokalnymi instytucjami, przedstawicielami klienta, władzami administracyjnymi i naszymi kooperantami, a polskim kierownictwem budowy. Nie jest to łatwe życie. Wiąże się z długoterminową rozłąką z bliskimi i z krajem, z działaniem klimatu, który nie jest dla nas, Europejczyków, najzdrowszy, i z ciężką pracą, bowiem za taką tylko otrzymuje się tu wynagrodzenie. To fakt, że jest to wynagrodzenie wysokie, a na stosunki krajowe nawet bardzo. Nie jest to jednak na pewno łatwy kawałek chleba, jak to wynikałoby z suchych wyliczeń finansowych. Życie na kampie, w małym środowisku tych samych twarzy i w małej orbicie tych samych spraw wymaga hartu ducha i silnej struktury psychicznej. Ubóstwo rozrywek i izolacja od zewnętrznego życia potęgują jeszcze frustrację. Reżim pracy jest ostry i wymagania jakościowo wysokie, ale zadania wykonywane są generalnie dobrze i terminowo. Klienci arabscy wiedzą o tym i wystawiają naszym pracownikom z reguły dobre oceny. Jak w każdej takiej sytuacji, w pewnym sensie ekstremalnej, dzieją się tu przyjaźnie, zawiązują znajomości i uczucia, które później w kraju na ogół przechodzą pomyślnie próbę czasu. Budowy takie są jak statki. I choć nieruchome, trwają, otoczone morzem odmiennej społeczności — przeobrażając krajobraz tego kraju i budując nowe.

Obecnie jest tych naszych specjalistów około sześciu tysięcy. Do największych inwestycji prowadzonych przez stronę polską należą roboty drogowe „Dromexu" na odcinku od Basry do Nassiryi, wytwórnie betonów komórkowych pod Kerbelą i znów Basrą, budowy Abu Ghraib oraz prowadzone przez „Geokart" prace nad przygotowaniem mapy Bagdadu. To wielkie, rozległe miasto, liczące ponad cztery miliony mieszkańców, nie ma do dziś jasnego planu ulic i gmachów, a w przypadku zbłądzenia dopytanie się o drogę jest wręcz niemożliwe. Miasto podzielone było dotychczas na dzielnice (areas), obejmujące jednak ogromne obszary; odnalezienie czegokolwiek w obrębie tych dzielnic było zadaniem arcytrudnym. Może więc i tę lukę wypełnią już wkrótce polscy geodeci. Praca to z pewnością ciekawa i odkrywająca wiele szczegółów, a nawet tajemnic ogromnego miasta, którego przeszłość była tak bogata i burzliwa i które samo w sobie jest jakby skupieniem orientalnej legendy, wyznaczającej wyobrażenie wielu o bliskowschodniej rzeczywistości.

Prowadzonych jest również szereg mniejszych inwestycji i tak obecność polska wciąż jest w Iraku zauważalna.

Z pewnością spotykamy się tam generalnie z sympatią miejscowej ludności, zwłaszcza kurdyjskiej. Cierpimy od reżimów biurokracji, jak każdy cudzoziemiec w tym kraju, ale i spotykamy się z przychylnością, przewyższającą niejednokrotnie tę, której doznajemy gdzie indziej. I nie jest to odczucie narodowej dumy. Na pewno niektóre nasze postawy dziwią Irakijczyków, ale jest to zjawisko obopólne i przy takiej odmienności kulturowej i socjologicznej nie może być inaczej.

Pewnym kluczem do zrozumienia niektórych objawów niechęci, najczęściej ze strony czynników oficjalnych, jest z pewnością przeszłość kolonialna; chęć natychmiastowego okazania swej wartości i odrębności, swej zdolności do samostanowienia, swej dumy z odmienności rasowej i charakterologicznej. Jest to wspólne wszystkim niemal krajom, które stosunkowo niedługo cieszą się niepodległością i mają za sobą długą historię zależności i upokorzeń.

Wspominając Irak, często jestem myślami przy tych zagubionych i osamotnionych szeregach domków, w których wieczorami słychać polską mowę, polski śpiew i polski szept. Mieszkają w nich ludzie wykonujący twardą robotę i nie przesłoni tego fakt wysokich uposażeń i podwyższonego nagle standardu życia po powrocie.

Oddalając się od tych kampów w pustynne przestrzenie Iraku, odczuwam takie samo poczucie zagubienia i rozterki, jak w chwili, gdy ciemny kontur kapliczki pod Quajarą zniknął nam nagle z oczu za kolejnym zakrętem i pozostała przed nami tylko równina: płaska, spokojna i tajemnicza, w jasnym blasku księżyca, a nad nami wspinało się wygwieżdżone niebo tak bezchmurne, czyste i bezmierne, jak chyba nigdzie na świecie.

I oprócz lat, które pozostawiłem za sobą między tymi rzędami drewnianych domków pozostało tam także wspomnienie ludzi wzbogaconych przez oddalenie i bardziej prawdziwych przez niecodzienność swego przemijania.

Jest bowiem Irak krajem, w którym polskie drogi nadal się przecinają.

Chybione pomysły i nieudane spektakle zdarzają się w każdym teatrze, jest to związane poniekąd z naturą tej sztuki. Ale niepokojące jest zjawisko braku samokrytycyzmu i dystansu wobec własnej pracy, za sprawą czego trafiają na festiwal byle jakie, nieudane przedstawienia — zwłaszcza gdy przychodzi oglądać takie spektakle w wykonaniu teatru od lat uchodzącego za najciekawszą scenę w kraju. Myślę tu o „Matce" Witkacego, którą pokazał Teatr Nowy z Poznania.

Takich przedstawień nieszczególnych znalazło się w Kaliszu, niestety, więcej niż jedno. Teatr Narodowy od czasu pożaru tuła się bez własnej sceny, w trudnych warunkach przygotowuje nowe przedstawienia, korzystając z gościnności różnych teatrów. Najnowsza jego premiera „Życie jest snem" Calderona w reżyserii Krystyny Skuszanki, odbyła się w Łodzi. Spektakl prezentowany w Kaliszu okazał się nie najlepszy aktorsko, poza jedną rolą (nagrodzoną) Segismunda, grana przez Tomasza Budytę. Nie zaistniało w tym przedstawieniu to, co najważniejsze chyba w dramacie Calderona — osobliwy dramat ludzki rozegrany w przestrzeni świata rzeczywistego i fantastycznego; pomyślany tak, by wszystko, co zdarzy się na scenie, było jednocześnie podobne i niepodobne do prawdy, dwuznaczne, pozostające na granicy rzeczywistości i marzenia.

Następny warszawski teatr, Dramatyczny, pokazał sztukę amerykańskiej pisarki Marshy Norman „Mamo, dobranoc". Dramat przynosi parę istotnych problemów, nurtujących współczesnego człowieka; samotność, alienacja, nerwice, samobójstwa, ale jednocześnie stanowi nie najlepszą konstrukcję dramatyczną. Przedstawienie wyreżyserowane przez Romanę Próchnicką, mimo że w obsadzie z dwiema doskonałymi aktorkami, Ryszardą Hanin (nagroda za tradycje aktorskie) i Ewą Decówną, nie wyrasta w niczym ponad codzienną zwyczajność naszych teatrów.

W tej kategorii przeciętnej „produkcji" teatralnej należałoby także usytuować „Amadeusza" Petera Shaffera — przedstawienie z Teatru im. Wyspiańskiego w Katowicach, w reżyserii Jana Maciejowskiego. Spektakl nabudowany rozmaitymi pomysłami reżyserskimi o charakterze szczególnie dekoracyjnym, aktorsko wypadł właściwie nijako. Zresztą, tym bardziej nieudane wydaje się to przedstawienie, jeśli patrzymy na nie poprzez pryzmat warszawskiego „Amadeusza" w Teatrze na Woli (1981), w reżyserii Romana Polańskiego, z doskonałą postacią Salieriego grana przez Tadeusza Łomnickiego.

O „Wysockim" Władysława Zawistowskiego w reżyserii Tadeusza Nyczka z Teatru im. Słowackiego w Krakowie wypadnie w tym miejscu powiedzieć chyba tyle, że to przedstawienie bardzo sprawne, przynoszące poza tym problematykę, która wciąż nas boli i dotyka. Przy tym z dwiema interesującymi rolami: Jerzego Golińskiego (Wysocki) i Jana Peszka (Giller).

Teatr im. Jaracza z Łodzi pokazał przedstawienie, jakie nie zdarza się właściwie na naszych scenach. Bogdan Hussakowski wyreżyserował dziewiętnastowieczną sztukę Scribe'a i Legouvégo „Adrianna Lacouvreur", opowiadającą o losach francuskiej aktorki z tej epoki, o szczególnym przypadku, kiedy teatr kształtuje osobowość człowieka i decyduje o sposobach jego zachowań. Dramat jest przykładem koncepcji teatru gwiazdorskiego. W łódzkim przedstawieniu zarysowały się dwie interesujące role: tytułowa Adrianny (Bożena Rogalska) i Bogusława Sochnackiego — stary inspicjent. Koncepcja przedstawienia zmierza w kierunku pokazania pewnej konwencji dziewiętnastowiecznego teatru, oczywiście, z odcieniem lekkiej ironii. Scenografia jest zatem pełna słodkiego kiczu, wystawnej barwności (ogrody, ławeczki spowite bluszczem, kostiumy pełne przepychu), stanowiąc konsekwencję zamysłu inscenizacyjnego. Wszystko to zostało pokazane w doskonale zaprojektowanym układzie świateł. To światło właśnie buduje wiele sytuacji, nadając osobliwy ton temu przedstawieniu.

Wypada wreszcie zatrzymać się przy spektaklu, który wzbudził największe chyba zainteresowanie widzów. Reżyserowi przedstawienia przyznano nagrodę dziennikarzy. Tym przedstawieniem jest „Zbrodnia i kara" ze Starego Teatru w Krakowie, w reżyserii Andrzeja Wajdy, ze scenografią Krystyny Zachwatowicz. Upraszczając nieco, można by powiedzieć, że Wajda z tej rozległej powieści wywiódł parę ważnych myśli: jak w człowieku narasta zło, jakie są tego przyczyny i źródła, jak i dlaczego człowiek staje się potworem. Wszystko właściwie zostało tu sprowadzone do dialogu Porfirego z Raskolnikowem. Najważniejsze w tym spektaklu jest aktorstwo Jerzego Stuhra i Jerzego Radziwiłowicza (dwie główne nagrody festiwalu), z trudem poddające się opisowi i jakimkolwiek przekładom na język recenzji.

O trójpokoleniowy Klub Nauczyciela Akademickiego

W ZESTAWIE „100 pytań o przyszłość" w „Przeglądzie Tygodniowym" (nr 2 z dnia 13 stycznia 1985 r.) jedno z nich dotyczyło emerytów i rencistów. W jaki sposób włączyć przynajmniej część tych ludzi do pracy w różnych instytucjach, zakładach, organizacjach?

W naszym lubelskim środowisku (pięć wyższych uczelni) można by też zadać pytanie, czy profesorowie, docenci, a obecnie już i adiunkci odchodzący na emeryturę, utrzymują kontakty ze swymi uczelniami poprzez prace naukowe, dydaktyczne, bądź w ramach półetatów, godzin zleconych lub prac społecznych? Jak nam wiadomo, nie zawsze i nie wszędzie. Dlaczego? Czy brak propozycji ze strony władz uczelnianych, czy też zainteresowań emerytów? Tej ogólnej inercji sprzyja też brak wytycznych władz uczelnianych i resortów. Sprawy socjalne emerytów powierzone są ZUS i tylko w kwestiach spornych interesują wydziały socjalne. Uczelnie organizują raz w roku dla emerytów imprezy artystyczne, jest i herbata, i dwa pączki, bon na 500 zł i „do widzenia za rok". Natomiast w poszczególnych zakładach i instytutach stosunki układają się różnie. Znane są przypadki znakomitego współżycia i współpracy z tymi, którzy odeszli. I odwrotnie — bywają takie, że emerytowanych profesorów przesiedla się z dnia na dzień z ich gabinetów, a nawet utrudnia dostęp do zakładu, którym kierowali. Niewątpliwie w tych sprawach potrzebne są obustronna kultura i takt. W niektórych krajowych szkołach akademickich powstały i istnieją nadal tak zwane „Konwenty Seniorów", które mają znaczny wkład i udział w pracach uczelni, czego przykładem Konwent w Uniwersytecie Śląskim.

Unikalnym też był Klub Seniora UMCS w Lublinie w latach 1974—1980. Z powodu przewlekłej choroby przewodniczącego (prof. dr. hab. Franciszka Uhorczaka) nastąpiła jednak dłuższa przerwa w działalności Klubu, po której nie wznowił on już pracy.

Klub ten powstał z inicjatywy b. rektora UMCS, prof. dr. hab. Wiesława Skrzydły. Według statutu, członkami zwyczajnymi Klubu mogli być emerytowani samodzielni pracownicy naukowi, lektorzy i kustosze UMCS, także emeryci z innych uczelni — w charakterze członków nadzwyczajnych lub po prostu gości. Przewodniczący był członkiem Senatu z głosem doradczym; informował on to gremium o pracach Klubu, jego potrzebach i projektach, a Senat przekazywał Klubowi niektóre problemy do przedyskutowania lub realizacji.

W stale rozszerzanym programie działalności Klubu znajdowały się, obok spotkań towarzyskich (brydż, szachy), wycieczki krajoznawcze, zwiedzanie zabytków Lubelszczyzny, wyjazdy do teatrów w stolicy, koncerty z płyt, sprawozdania z podróży zagranicznych członków Klubu itp. Organizowanie tych imprez należało do Sekcji Socjalno-Kulturalnej, która podjęła również starania o utworzenie punktu aptecznego, żłobka i przedszkola dla dzieci innych pracowników uczelni. Niektóre z tych inicjatyw zostały zrealizowane już po zawieszeniu działalności Klubu (apteka, żłobek). Ważną inicjatywą społeczną była też budowa Domu Seniora dla tych pracowników naukowych, którzy z powodu wieku i choroby, jak też szczególnej sytuacji życiowej potrzebowali pomocy i opieki.

Natomiast Sekcja Historyczna podjęła się zebrania materiałów dokumentalnych z pierwszego pięciolecia UMCS (1945—1950), biografii tych, którzy tworzyli nowy uniwersytet, organizowali zakłady, kształcili pierwsze kadry dydaktyczno-naukowe, tworzyli wzorce nauczyciela akademickiego w naszym środowisku, inicjowali pierwsze prace naukowe, promowali pierwszych doktorów, docentów. Zgromadzone materiały — biografie, fotografie, pierwsze skrypty, publikacje itp. — oddano w 1980 r. do Muzeum UMCS.

W ramach tak zwanej „Wolnej trybuny dyskusyjnej" odbywały się zebrania polemiczne przy udziale zaproszonych gości, dotyczące niektórych spornych problemów uczelni: kodeksu etycznego pracownika naukowego, instytutów uczelnianych zamiast katedr, egzaminów wstępnych, testowych i pisemnych.

Z UMCS wyrastały w pierwszym pięcioleciu kolejno Akademia Medyczna, Akademia Rolnicza, a w 1953 r. Politechnika. Łączy je dziś międzyuczelniane Kolegium Rektorskie, a w sprawach naukowych — Lubelskie Towarzystwo Naukowe, ale kontakty między uczelniami, wydziałami, instytutami i katedrami są wątłe lub żadne. Z wyjątkiem UMCS, emerytowani seniorzy zostali w większości wyłączeni z czynnego życia w swoich uczelniach. Na domiar złego w latach 80-tych wystąpiło nieznane poprzednio zjawisko: apatii, zniechęcenia, bierności, bezradności...

Nam, „epigonom" pierwszego pięciolecia UMCS i Klubu Seniora, marzy się wizja środowiskowego Klubu Nauczyciela Akademickiego, trójpokoleniowego (seniorzy, profesorowie i docenci, adiunkci). Niestety, obecnie w rozmowach prowadzonych z młodszymi kolegami spotykamy się z pesymizmem i niewiarą w powodzenie naszego projektu. Ostatnio już nieco optymistyczniej oceniamy nowo powstałe w uczelniach związki zawodowe i studenckie (ZSMP i ZSP); brak jeszcze odzewu ze strony pracowników naukowych. A przecież właśnie teraz, przy tak ograniczonych środkach, braku nowoczesnej aparatury, książek, bieżących czasopism — zwłaszcza zagranicznych — jakże potrzebne byłyby kontakty między uczelniami, zakładami, pracownikami! Jak wiele trudności można by pokonać przy wzajemnej życzliwości, w spotkaniach przy stolikach klubowych. Zdaniem naszym, środowiskowy, trójpokoleniowy Klub Nauczyciela Akademickiego mógłby stanowić antidotum na apatię i bezradność, a ponadto na rozgoryczenie „odstawionych" z uczelni emerytów. Taki klub mógłby stać się ośrodkiem wymiany poglądów, nauką tolerancji. Wycieczki krajoznawcze, zwiedzanie muzeów, wspólne spotkania na koncertach, w teatrach, byłyby dobrym lekiem na zacietrzewienie i jednostronność poglądów.

Na wzorcu b. Klubu Seniora UMCS można by opracować rozszerzony projekt Klubu Nauczyciela Akademickiego lubelskich uczelni. Zdaniem naszym, powinien on powstać pod protektoratem UMCS. W pierwszym etapie należałoby powołać kilkuosobowy komitet organizacyjny, który opracowałby projekt statutu i ramowy program działalności. Przedstawienie projektu do akceptacji na Kolegium Rektorów oraz wstępne zebranie informacyjne wraz z wyborem zarządu — stanowiłyby następne etapy przedsięwzięcia.

Prof. dr hab. Janina Opieńska-Blauth
dr Janina Wolter

Na warszawskich targach książki

Andrzej Zdunek

PRZYPOMNIJMY krótko: Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie to obok czterdziestu tego typu imprez, m.in. we Frankfurcie, Moskwie, Lipsku, Zagrzebiu, San Francisco i Chicago, jedno z największych przedsięwzięć wydawniczo-księgarskich na świecie. Wydawcy, księgarze, często także pracownicy bibliotek i zakładów poligraficznych spotykają się w Warszawie, by zaprezentować dorobek swoich oficyn wydawniczych, głównie książki, liczne periodyki i czasopisma, nieraz barwne reprodukcje, kasety magnetofonowe i płyty. Na kilka dni, zazwyczaj w trzeciej dekadzie maja, Pałac Kultury i Nauki zmienia się w wydawniczą Wieżę Babel, gdzie mieszają się języki, narodowości, książki i... ludzie, chociaż każdy pilnie strzeże swojego dorobku i interesów, i stara się sprzedać, początkowo na piśmie, jak najwięcej publikacji, zawrzeć jak najwięcej umów, zaoferować najbogatszą skalę usług.

Celem Targów jest bowiem nie tylko prezentacja tytułów — w ślad za nią idą także transakcje handlowe, zakup książek bądź praw do ich wydania, umowy o kooperacji, zamówienia bibliotek i instytucji naukowych, do niedawna (dopóki jako tako było z dewizami) także zamówienia klientów indywidualnych. Realizowała je generalnie Centrala Handlu Zagranicznego „Ars Polona", rozprowadzając potem poszukiwane egzemplarze, za grube złotówki, wśród zamawiających. Teraz w kręgu szczęśliwców pozostały tylko instytucje.

Targi książki to również miejsce spotkań ludzi tworzących książkę, bądź ją upowszechniających: pisarzy i naukowców, wydawców, redaktorów, grafików, drukarzy i pracowników bibliotek, a także całych rzesz czytelników, którzy przez bez mała tydzień ze specjalnie przygotowanym katalogiem w ręku (za 100 zł) uganiają się po stoiskach (bilet jednorazowy kosztował w tym roku 50 zł, karnet na wszystkie dni złotych 250), poszukując potrzebnych im książek do pracy, nauki, lektury dla przyjemności i poszerzenia wiedzy, wreszcie książek dla dzieci. Nie, to nie jest dobrze powiedziane — nie poszukują książek: na Targach mogą zdobyć jedynie informację o nich i obejrzeć egzemplarze, gdyż tutaj książek nikt nie sprzedaje, a jedynie sygnalizuje ich rychłe pojawienie się na półkach księgarskich. Tylko wybrani, którzy zaskarbią sobie sympatię obsługi stoiska, mogą dostać poszukiwaną książkę, ale jest to zazwyczaj rzadkością. Od czasu do czasu wymieniane są książki między wydawcami, czasem podsunie się odpowiedni tytuł tłumaczowi bądź recenzentom, a nawet wręczy rozognionemu dziecku, które wodząc paluszkiem po szybie gablotki, mówi: „To mam, to mam, to czytałem, a tego nie...", i minę ma nietęgą, a tu kolorowe obrazki, i wilk z czerwonym jęzorem, i Kopciuszek, i Babcia oczekująca na Czerwonego Kapturka... I co wtedy robić — trzeba dać! Dlatego też wielu wydawców przywozi trochę gratisowych egzemplarzy i naprawdę wyjątkowo wręcza takiemu malcowi, który z miną zdobywcy opuszcza stoisko, by przy innym pochłaniać oczami książkowe rozmowy komputerowych zabawek czy najnowsze modele fantazyjnych robotów.

Każdy natomiast może z Targów wynieść ogromną torbę prospektów, wydawniczych reklam, planów i zapowiedzi, katalogów, zakładek, barwnych pocztówek, mapek, plakatów i Bóg wie jeszcze czego, a wszystko to służy informacji i zachęcie — na Zachodzie liczy się i dla wydawcy, i dla autora każdy sprzedany egzemplarz (nie tak jak u nas) i dlatego zwiedzający Targi szokowani są krzyczącymi barwą i olbrzymią czcionką reklamówkami, bo business is business.

Wydawnictwa polskie są raczej ascetyczne: poważnie proponują nobliwe w większości, aczkolwiek również poszukiwane i cenne, zapowiedzi wydawnicze, które sygnalizują ukazanie się danego tytułu. Że są to u nas często pobożne życzenia, a terminy zapowiadane dalekie nieraz od realizacji, to inna sprawa — książka prędzej czy później ukaże się, a plany pozwalają przynajmniej żyć nadzieją.

Nieraz przez targowe megafony (choć przyznam, że w tym roku tego nie słyszałem) rozlegał się głos, że „Pani lub Pan, którzy oglądając książkę, przez pomyłkę (ha, ha, ha!) wzięli ją ze sobą, proszeni są o jej zwrot do stoiska takiego to a takiego", ale to dodawało tylko pieprzu całej imprezie, gorszyło jednych, bawiło drugich, aż do następnej wiadomości biegnącej przez stoiska, najczęściej pocztą pantoflową, że znów zginęła jakaś książka. Opowiadano dawniej, że zdarzył się nawet kuriozalny przypadek, kiedy przedsiębiorczy miłośnik ksiąg publikację przywłaszczoną w jednym stoisku proponował do wymiany w drugim, bo tam właśnie znalazł jeszcze bardziej poszukiwaną... No cóż! Przed laty Józef Maksymilian Ossoliński pisał z jakiejś okazji, że „Hołysz tedy jestem i bez grosza", co też i okazało się prawdą po jego śmierci, bo wszystko wydał na książki. Ale on — jak wspominał dziewiętnastowieczny antykwariusz z Krakowa Ambroży Grabowski — „Skąpiec w wysokim stopniu, wszystko chciał mieć, każdą starą książkę posiadać, ale darem, ale za nic" — dodajmy, że „ad maiorem Patriae gloriam".

W bieżącym roku zorganizowano w Warszawie targi jubileuszowe. Nie przerywano ich bowiem — co słusznie podkreśla wydawana przez Wydawnictwo „Epoka" „Gazeta Targowa" nr 3 — nawet w pierwszych miesiącach stanu wojennego w Polsce. Trwały teraz od 22 do 27 maja; gościły 205 wystawców z 25 krajów, którzy prezentowali książki około 1100 oficyn wydawniczych.

Na kilku piętrach Pałacu i wokół Sali Kongresowej ciągnęły się na przestrzeni setek metrów, a może i kilometrów stoiska targowe: białe stelaże i oszklone gablotki. Jasno oświetlone, oznaczone numerem i nazwą wydawnictwa — pełne książek. Różnych. Z różnych dziedzin. Od poważnych prac naukowych, technicznych i medycznych, prezentujących najnowsze osiągnięcia wiedzy i kultury światowej, książek literackich, poprzez barwne albumy i traktaty o sztuce, do dziecięcych składanek, bajek i opowieści. Chętni odwiedzający Targi po raz pierwszy gubili się w labiryncie stoisk, oszołomieni ogromem imprezy i wielością publikacji. Obsługa, pracownicy wydawnictw, redaktorzy i nadzwyczaj wdzięczne tłumaczki zachęcali do obejrzenia, informowali, zapraszali do przycupnięcia na krześle dla chwili oddechu, często z zażenowaniem (w stoiskach polskich) przepraszali, że danej książki już, niestety, dawno nie ma, nawet w księgarniach.

Wydawnictwa polskie oferowały na Targach głównie produkcję roku 1984 i oczywiście te tytuły, które zdążyły się ukazać do pierwszych tygodni maja. Przypomnijmy za informacją Ministerstwa Kultury i Sztuki przygotowaną na wystawę książki polskiej, która odbyła się pod koniec marca w Warszawie, że w roku 1984 czterdzieści dwa wydawnictwa państwowe i spółdzielcze wydały 5145 tytułów w nakładzie 221,8 mln egz. Nie o liczby oczywiście chodzi, chociaż — jak zauważył w jednym z telewizyjnych programów prof. Seidler — dzisiaj książki (czy prace naukowe) częściej liczy się, a rzadziej czyta, wspomniane przecież wielkości dają przybliżony obraz osiągnięć w tej dziedzinie kultury.

Propozycje wydawnicze przygotowane przez oficyny lubelskie można było znaleźć w pięciu stoiskach. Wydawnictwa Lubelskiego, Towarzystwa Naukowego KUL, Redakcji Wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Wydawnictwa „Polonia" i KAW-u. Nie wspominamy szerzej o książkach autorów lubelskich wydawanych poza Lublinem, np. w PZWL-u (w zapowiedziach) podręcznik „Podstawy mikrobiologii lekarskiej" napisany pod red. Leona Jabłońskiego z Instytutu Medycyny Społecznej czy opracowane przez wykładowców z lubelskiego Instytutu Pediatrii „Choroby wieku rozwojowego" pod red. Andrzeja Papierkowskiego. Ich wynajdywanie pozostawmy recenzentom naszych gazet, którym niejeden raz chciałoby się za Stanisławem Jachowiczem zadedykować stare przysłowie: „Cudze chwalicie, swego..." itd.

Wydawnictwo Lubelskie tradycyjnie zaproponowało dwa nurty publikacji: literacki i naukowo-społeczny. A więc przygotowane do wznowienia tomy poezji Leśmiana i Czechowicza, drugie wydanie bardzo dobrze ocenianej książki poety ludowego Jana Pocka, nowy cykl debiutów poetyckich opracowany graficznie przez Zbigniewa Jóźwika, dwie prace, o które często na Targach pytano: „Lublin literacki 1932—1982" pod red. Józefa Zięby i Waldemara Michalskiego oraz zbiór szkiców na temat powieści współczesnej pod red. Jerzego Święcha zatytułowany „Modele świata i człowieka". Także „Księgę Fausta" Josepha Dennisa Enrighta w przekładzie z języka angielskiego Bohdana Zadury. Półkę z beletrystyką uzupełniał bogaty zestaw książek dla dzieci z wzbudzającym pożądanie dużym tomem „Bardzo dziwnych opowieści" Ewy Szelburg-Zarembiny ozdobionych nie potrzebującymi rekomendacji ilustracjami Jana Marcina Szancera.

Wśród publikacji o charakterze naukowym i z tzw. literatury społeczno-politycznej dwie prace Grzegorza Leopolda Seidlera „W nurcie Oświecenia" i dwuczęściowa „Z zagadnień filozofii prawa" (w dniu otwarcia Targów prasa poinformowała o wyróżnieniu tej ostatniej nagrodą im. Ludwika Waryńskiego). Dalej książki Romana Tokarczyka: cieszące się popularnością „Współczesne doktryny polityczne" i nowa propozycja dotykająca ważkich problemów etycznych pt. „Prawa narodzin, życia i śmierci". Cykl monografii poświęconych luminarzom polskiej nauki reprezentował tom o twórcy „lwowskiej szkoły zoologicznej", Józefie Nusbaumie-Hilarowiczu Gabriela Brzęka, a serię „Człowiek i świat człowieka" praca Krzysztofa Broziego „Antropologia funkcjonalna Bronisława Malinowskiego". Zwróćmy uwagę, że w roku 1984 przypadała 100 rocznica urodzin tego wielkiego antropologa i socjologa, stąd m.in. w polskich wydawnictwach wznowienie jego dzieł i obfitsze pokłosie prac na ten temat.

Rys. Jan Surma

W lubelskiej oficynie ponadto publicystyka z lat osiemdziesiątych: Burda, Koźniewski, Klakson (!) oraz zbiór gorzkich nieraz, satyrycznych rysunków Jerzego Lipca — „Eliota" zatytułowany „Debaty". Także wyczerpana już w hurcie (dostępna gdzieniegdzie w księgarniach) książka Ireneusza J. Kamińskiego o Zenonie Kononowiczu, malarzu i grafiku.

Towarzystwo Naukowe KUL. Tutaj nowy periodyk — pismo poświęcone twórczości jednego pisarza — „Studia Norwidiana". T. 1. W Komitecie Redakcyjnym kierowanym przez Stefana Sawickiego: Jan Błoński, Józef Fert, Zdzisław Łapiński, Irena Sławińska, Zofia Stefanowicz i Zofia Trojanowiczowa [illegible] Wydziału Filozoficznego drugą część wybranych kwestii „Z filozofii indyjskiej" ks. Franciszka Tokarza, następnie Edwarda Zwolskiego „Kasjodor i Jordanes. Historia gocka czyli scytyjska Europa", z serii „Homo meditans" dwie prace zbiorowe pod red. ks. Waleriana Słomki: „Medytacja" oraz „Kontemplacja i działanie". Słyszy się również o rychłym rozprowadzaniu drugiego rzutu (13 tys. egz.) czterech tomów „Encyklopedii katolickiej" drukowanych we Włoszech (cena, niestety, 5 tys. zł za jeden tom).

W Redakcji Wydawnictw KUL (szkoda, że oprócz tej placówki i Wydawnictwa Uniwersytetu Śląskiego tak skromnie prezentowane były na Targach publikacje polskich oficyn uczelnianych) „Księga Psalmów" i „Księgi pięciu megilot" w tłumaczeniu Czesława Miłosza, dzieje Jasnej Góry w latach 1864—1914 Szczepana Zachariasza Jabłońskiego, wybór esejów z etyki i o etyce Tadeusza Stycznia, zbiór prac dedykowanych prof. Włodzimierzowi Sedlakowi „Perspektywy bioelektroniki", zebrane rozprawy nestora polskiej humanistyki, prof. Konrada Górskiego pt. „Rozważania teoretyczne. Literatura — muzyka — teatr".

Na koniec wskażmy dwie oficyny, które proponowały publikacje (wydane bądź zamierzone) w sposób nietypowy. Działające od bodaj dwóch lat Wydawnictwo „Polonia" (z Warszawy) w po raz pierwszy zorganizowanym na Targach stoisku pokazało książki i czasopisma o tematyce polonijnej i dla Polonii z dorobku innych oficyn, które w najbliższym czasie wydawane będą pod tą firmą. A więc kilka roczników „Almanachu Polonii" (dotychczas wydawanego przez Interpress), dwa zeszyty „Rocznika Polonijnego" z Wydawnictwa Lubelskiego, okolicznościowe, aczkolwiek sumiennie i kompetentnie przygotowane biuletyny pod redakcją niestrudzonego Adama Andrzeja Witusika „Jan Kochanowski i jego czasy" oraz o wiktorii wiedeńskiej (Interpress), szereg numerów redagowanej w Lublinie przez Barbarę Gradzik-Jedynak „Wisełki", pisma przeznaczonego dla młodzieży i nauczycieli polonijnych oraz cały zestaw książek o Polakach w różnych krajach i kontynentach firmowanych przez Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe przy UMCS. Dodajmy, że Wydawnictwo „Polonia" od początku 1985 roku ma w Lublinie swój oddział.

I jeszcze Krajowa Agencja Wydawnicza. Książki lubelskiej filii tego kombinatu ginęły nieco w bogatej łącznej propozycji warszawskiej centrali i kilkunastu ośrodków terenowych, jednakowoż zarówno „biała" jak i „czarna" (w twardej oprawie) wersja „Vademecum" Cypriana Norwida, a także album o Podlasiu czy przyciężkawe „Lubelskie" prezentowały się całkiem okazale, a o popularności wśród czytelników sprzedawanego do niedawna w różnych punktach Lublina „Kopczyka szczęśliwej wiktorii wiedeńskiej..." — listów króla Jana i królowej Marysieńki w wyborze i ze wstępem Adama Andrzeja Witusika nie trzeba zapewniać.

Wśród KAW-owskich książek (tym razem oddziału rzeszowskiego) jeszcze jeden lubelski autor. Po „Bieszczadzkich szybowiskach" Tadeusz Chwalczyk przygotował w serii „Miniatur lotniczych" „Podlaskie skrzydła" — rzecz o lotniczych tradycjach Białej Podlaskiej i okolicy.

Targi minęły, wydawcy rozjechali się bogatsi o nowe doświadczenia, propozycje i umowy. Większość wystawianych w Warszawie książek powinniśmy jeszcze spotkać w księgarniach: publikacje zagraniczne w wybranych klubach międzynarodowej prasy i książki bądź w ośrodkach kultury danego kraju, wydawnictwa polskie — w sieci „Domu Książki". Powoli mija gorączka kupowania, choć na pewno będą jeszcze tytuły spod lady, a dni sprzedaży encyklopedyjnych talonów zapiszą się przykrym wspomnieniem u księgarzy i kupujących. Oferta polskich wydawców wydaje się coraz bogatsza w tytuły, coraz bardziej obfita w egzemplarze i coraz droższa. Jak powiedział w telewizyjnym „Forum wydawców" Andrzej Kurz, dyrektor i redaktor naczelny Wydawnictwa Literackiego, dopóki są ludzie, którzy piszą książki, dopóki są ci, którzy potrafią i chcą je wydawać, dopóki znajdują się nabywcy i czytelnicy (oby faktycznie czytalili), nie ma kryzysu książki — jest kryzys poligrafii podkreślmy: poligrafii, a to problem do rozwiązania nie przez wydawców, a przez producenta i problem w mniejszym stopniu kultury, a w większym gospodarki.

Demokracja możliwości

Waldemar Piasecki

Powinniśmy marzyć o arystokracji osiągnięć wyrastającej z demokracji możliwości

(Thomas Jefferson)

WEDŁUG naukoznawców, lata siedemdziesiąte XX wieku dały początek tzw. III rewolucji naukowej, rewolucji komputerowo-informacyjnej. Stadium jej rozwoju jest obecnie takie, mniej więcej, jakie niósł niegdyś okres, w którym włókniarze z Manchesteru zabierali się do niszczenia maszyn tkackich. Para była dobra, dopóki poruszała śmieszne maszyny nie służące do niczego bardziej konkretnego niż obracanie koła. Z chwilą, gdy napęd przełożono na mechanizmy bardziej oczywiste i gdy nowa energia zaczęła wyrzucać zza warsztatu na bruk, stała się niebezpieczna i „niepotrzebna".

Odruchy buntu wobec „diabelskich maszyn" zneutralizowano już to perswazją, już to więzieniem; taka była logika postępu (i historii). Dziś ośrodków informatycznych w USA, Japonii i innych krajach nikt nie niszczy, chociaż od czasu do czasu podnoszone jest larum o rzekomym zagrożeniu płynącym z „przeinformowania" wielu dziedzin życia. Pamiętamy niedawne protesty w RFN, związane z projektem wprowadzenia nowych dowodów tożsamości, które pozwalałyby na bardzo szybkie uzyskiwanie zgromadzonych danych o posiadaczu, przez uruchomienie (przy pomocy dokumentu z wdrukowanym kodem identyfikacyjnym obywatela) systemu informatycznego. Chwilowe odstąpienie od realizacji zamysłu (nb. władze RFN czynią już kolejne „podejście"), jest, w przybliżeniu, tym czym było przerwanie produkcji po zniszczeniu, w odruchu sprzeciwu, kilku maszyn parowych. Rzecz nie w tym, że ktoś będzie miał informacje o panu Muellerze, ale kto będzie mógł nimi dysponować i jak. Chodzi więc o system zabezpieczenia danych przed niepowołanymi, a nie eliminację idei w ogóle.

W casusie tym wyraża się jednak także coś innego: człowiek zaczyna rozumieć, że postęp naukowo-techniczny stawia przed nim zadania, których bez stałego kształcenia i rozwijania funkcji poznawczych nie będzie mógł rozwiązywać. Stąd postulaty znacznej modyfikacji systemów oświatowych w kierunku kształtowania ustawicznego, rozwijającego nie tylko stałą gotowość do przyjmowania nowych informacji, ale także strategie skutecznego tych informacji przetwarzania i wykorzystywania. Wyrazem tych dążeń jest chociażby raport Komisji Specjalnej UNESCO pt. „Lerning to Be" („Uczyć się, aby być"), opracowany pod kierunkiem członka Akademii Francuskiej, byłego premiera Francji, prof. Edgara Faure.

Celem lepszego wykorzystywania potencjalnych możliwości ludzkich, twórczej aktywności, niezbędne jest kształcenie tych intelektualnych i osobowościowych dyspozycji, których rozwój i stymulacja mogą okazać się użyteczne lub wręcz niezbędne dla człowieka przyszłości, XXI wieku. Za celowością takich poczynań przemawiają nie tylko względy natury humanistycznej, ale także prosty rachunek. Stopień wykorzystania ludzi twórczych nie przekracza, zdaniem wielu badaczy, 5—7 procent, z drugiej strony człowiek wykorzystuje w najlepszym razie 10 procent potencjalnych możliwości intelektualnych. Jest to dramatycznie mało! Dlatego działalność świadomych społeczeństw powinna zmierzać w dwóch kierunkach: większego wykorzystania twórców i większego wykorzystania możliwości każdego człowieka. Nawet niewielki postęp ma tu ogromne znaczenie.

Z powyższej konstatacji nietrudno wyciągnąć wniosek, że badania nad aktywnością twórczą i jej skuteczne rozwijanie są ponad wszelką wątpliwość uzasadnione. Może nawet więcej: stan zaawansowania tych dziedzin staje się miernikiem nowoczesności społeczeństwa i roli, jaką przywiązuje ono do własnej przyszłości i rozwoju jednostki.

Z pewnym zażenowaniem wypada stwierdzić, iż w naszym kraju robi się w tym kierunku mało, natomiast pozytywnych przykładów z państw demokracji ludowej nie brak.

29 września 1981 roku, w dwa miesiące po śmierci Ludmiły Żiwkowej, na odbywającej się w Sofii XXI Konferencji Stowarzyszenia „Złoty Merkury", jego sekretarz generalny, Włoch Lorenzo Gallo, zgłosił propozycję powołania fundacji imienia przedwcześnie zmarłej Bułgarki.

Co legło u podstaw tej prozycji? By odpowiedzieć na pytanie, niezbędne wydaje się kilka informacji o patronce fundacji. Ludmiła Żiwkowa (ur. 1942), córka bułgarskiego przywódcy, po ukończeniu studiów z historii sztuki rozpoczęła pracę w Komitecie Kultury Ludowej Republiki Bułgarii, odpowiedniku ministerstwa. Po kilku latach zainteresowań kaulturą materialną Bułgarii (głównie [illegible]acji, czego efektem książki) skoncentrowała się [illegible] zagadnieniu rozwijania twórczych uzdolnień [illegible]ci i młodzieży oraz przekształcenia kultury w [illegible]wny czynnik rozwoju i wychowania na rzecz [illegible]bracy między narodami. Pełniejszą realizację [illegible]ch koncepcji Ludmiła Żiwkowa uzyskała jako przewodnicząca Komitetu i członek Biura Politycznego BPK. Po wielu podróżach zagranicznych, gromadzeniu doświadczeń [illegible] i zjednywaniu poparcia (m.in. Organizacji Narodów Zjednoczonych), [illegible]em 1979 roku w Sofii odbyło się I Międzynarodowe Zgromadzenie Dzieci. Stało się ono najważniejszym elementem obchodów Międzynarodowego Roku Dziecka proklamowanego przez ONZ.

W zgromadzeniu uczestniczyło 2500 dzieci z 77 krajów. W jego programie znalazła się m. in. pierwsza sesja Światowego Parlamentu Dzieci. Uchwalono apel dzieci do ONZ i za pośrednictwem tej organizacji do całej ludzkości. Przedstawiciele dwóch miliardów dzieci wzywali swych ojców i matki, braci i siostry do zachowania pokoju, zapewnienia dzieciom przyszłości, w której dominować będzie jedność, twórczość i piękno. Zgromadzenie przyjęło też nazwę „Sztandar Pokoju". Imprezie towarzyszyły ekspozycje twórczości dziecięcej, spotkania psychologów, socjologów, pedagogów, polityków odpowiedzialnych za kształcenie i oświatę.

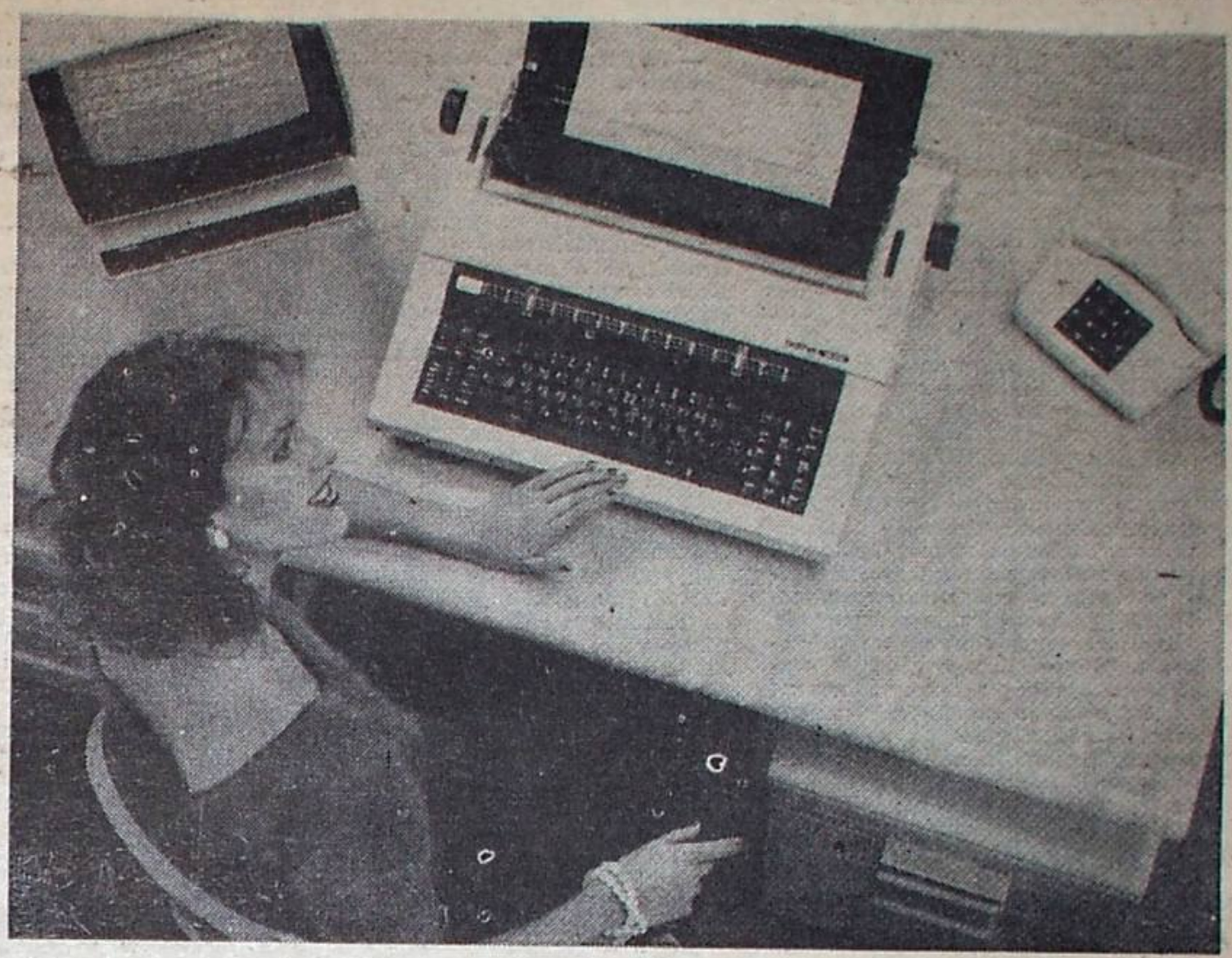

W ośrodkach „Sztandaru Pokoju" pracownie komputerowe nie są niczym specjalnym

Foto: Archiwum

Po I Zgromadzeniu w Sofii odbyły się dwa kolejne spotkania. W 1980 roku przybyło do stolicy Bułgarii 185 dzieci z 85 krajów, a w następnym 214 z 97 krajów. W 1982 roku natomiast odbyło się II Zgromadzenie Dzieci „Sztandar Pokoju" z udziałem 528 dzieci ze 101 krajów oraz 445 przedstawicieli Bułgarii.

Ruch „Sztandar Pokoju" objęty został patronatem UNESCO i w wielu krajach znalazł warunki do szerszego rozwoju. Nawiązał kontakty z placówkami naukowymi i badawczymi, organizacjami państwowymi i społecznymi promującymi rozwój twórczości dzieci i młodzieży. W samej Bułgarii powstały liczne ośrodki i kluby „Sztandaru" zajmujące się, pod fachowym kierownictwem, rozwijaniem twórczości plastycznej, literackiej, intelektualnej dzieci. Dysponują one doskonale wyposażonymi pracowniami, materiałami i aparaturą (w wielu działają laboratoria informatyczne z mini-komputerami). Inspirował także ów ruch przyjęcie ogólnonarodowego Programu Wychowania Estetycznego, na który rząd bułgarski nie szczędzi środków.

Siedziba „Sztandaru Pokoju" mieści się w Sofii w pięknym secesyjnym domu przy Oboriszte 17. Eksponowane są tu zbiory twórczości dziecięcej, liczące 30 tysięcy dzieł sztuki pięknej i użytkowej, literatury, fotografii ze 101 krajów całego świata. Tu mieści się także redakcja gazety „Zname na Mira" („Sztandar Pokoju"), wydawanej w pięciu wersjach językowych i rozpowszechnianej w ponad stu krajach. Również tutaj mieści się siedziba Międzynarodowej Fundacji im. Ludmiły Żiwkowej, której celem jest wspieranie i rozwijanie twórczości dzieci. Naturalnie fundacja ściśle współpracuje ze „Sztandarem". Jest ona pierwszą tego typu instytucją w krajach socjalistycznych. Działa pod patronatem UNESCO.

W posiedzeniu założycielskim fundacji uczestniczyli wybitni działacze społeczni, kulturalni, uczeni 46 krajów. W skład Biura Międzynarodowego wchodzą m.in. poeta radziecki tworzący dla dzieci, Sergiusz Michałkow; prezes „Pergamon Press", wydawca Robert Maxwell; wspomniany już Lorenzo Gallo.

Mimo krótkiego okresu działalności Fundacja Żiwkowej i „Sztandar Pokoju" zainicjowały kilka wartościowych imprez międzynarodowych, m.in. „Dzieci w skomputeryzowanym świecie" czy tegoroczne III Zgromadzenie Dzieci planowane na 10—20 lipca.

Na światowej konferencji UNESCO w Meksyku (1982) delegaci jednomyślnie poparli rezolucję popierającą bułgarski ruch na rzecz twórczości dziecięcej z jego organizacjami „Sztandarem" i Fundacją Żiwkowej. W 1984 roku w Rio de Janeiro na XXV Światowym Kongresie INSEA — międzynarodowej organizacji do spraw wychowania przez sztukę — w specjalnej rezolucji zalecono państwom-członkom aktywną współpracę z ruchem „Sztandar Pokoju" i fundacją. Bułgarskie inicjatywy nabierają więc charakteru ogólnoświatowego. I tegoroczne III Zgromadzenie fakt ten zapewne potwierdzi. Organizatorzy spodziewają się udziału dzieci z ponad 120 krajów całego świata. W końcu tego roku fundacja uczestniczyć będzie w Międzynarodowych Targach Wynalazczości Młodzieży organizowanych przez Bułgarię. Z innych inicjatyw godne odnotowania wydaje się tworzenie Międzynarodowego Twórczego Centrum Ekologicznego „Ropotamo", które ma rozwijać ideę wychowania w duchu wspólnoty z przyrodą, jej poszanowania.

Fundacja to także sponsowanie najbardziej uzdolnionych młodych twórców. Przykłady. W Oxfordzie na rocznej specjalizacji z dziedziny techniki komputerowej przebywał Andrej Janew. Młoda skrzypaczka Angelina Goczewa specjalizowała się u wybitnego wirtuoza Efry Neumana. Nina Popkonstantinowa studiuje starobizantyjskie rękopisy muzyczne w Danii. Fundacja zamierza także promować twórczo uzdolnioną młodzież innych krajów.

Obecnie przewodniczącym fundacji jest 31-letni brat patronki, Władimir Żiwkow, z którym miałem możliwość rozmawiać o działalności organizacji, przede wszystkim zaś jej perspektywach. Ze względu na uniwersalizm tematyczny i apolityczność organizacji oraz palącą aktualność potrzeby rozwijania dyspozycji twórczych w możliwie wczesnym wieku Żiwkow jest optymistą co do losów przedsięwzięcia.

— *Czy może być coś bardziej wartościowego niż wykrywanie, rozwijanie i popieranie uzdolnień w imię jedności, twórczości i piękna?* — pyta.

Istotnie, w skłóconym świecie potrzeba odrodzenia wartości bardziej uniwersalnych. Zwłaszcza iż niosą one także możliwości postępu i rozwoju. Dlatego też z optymizmem należy patrzeć na przyszłość ruchu „Sztandar Pokoju" i Fundacji im. Ludmiły Żiwkowej. Chciałoby się z tak najaktywniejszym udziałem Polaków.

W nałęczowskim pejzażu

Rozmowa z prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa Jarosławem Olejnickim

— Dwa lata temu ukazała się na rynku księgarskim pozycja dzisiaj już zupełnie niesłychana. „W krajobrazie Nałęczowa" Tadeusza Kłaka. Badacz i historyk literatury, wykładowca w Uniwersytecie Śląskim, a uprzednio wieloletni kierownik Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie, pisze w niej przede wszystkim o tradycjach kulturalnych i artystycznych tego znanego polskiego uzdrowiska, o związkach z Nałęczowem wielu wybitnych literatów, przede wszystkim — Bolesława Prusa i Stefana Żeromskiego. Swoją opowieść o ludziach sztuki związanych z tą miejscowością dociąga do początku lat siedemdziesiątych, stwierdzając m.in. w odautorskiej nocie: „Trzeba jednak pamiętać, że czas pisze nowe dzieje, a każdy rok wzbogaca Nałęczów o nowe nazwiska pisarzy, związki biograficzne, fakty i utwory literackie. Nowe rozdziały tej książki będzie więc dopisywała przyszłość". Przyznam, że te właśnie zdania stały się dla mnie inspiracją do zaproponowania panu rozmowy na temat patronującego miejscowym poczynaniom kulturalnym i artystycznym Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa, któremu od szeregu lat pan przewodniczy. Zwracam się do pana zarazem jako do przedstawiciela miejscowej kolonii artystycznej, artysty malarza, człowieka osiadłego tu od lat ponad trzydziestu. Jak prezentuje się b i e ż ą c y rozdział życia kulturalnego Nałęczowa?

— Wspomniał pan o książce Tadeusza Kłaka, której duża część poświęcona jest przecież także historii samego Nałęczowa. Otóż warto dodać, że od kilku lat przechodzi różne perypetie wydawnicze dzieło innego nałęczowskiego autora, członka naszego Towarzystwa, Michała Tarki — „Dzieje Nałęczowa". Sędzia Tarka poświęcił tej pracy dwadzieścia lat życia, szperał po licznych archiwach, m.in. lubelskich, krakowskich, warszawskich, nawiązał kontakty z archiwum w Waykanie. Miejscami jego „Dzieje" wychodzą poza suchą relację: to barwna opowieść o często zupełnie nieznanych wydarzeniach, związanych z historią tutejszego regionu, o ludziach zamieszkałych w Nałęczowie i jego okolicy. Dziewięćdziesięcioletni autor sam jest z dziada-pradziada obywatelem wsi Bochotnica, będącej dzisiaj przedmieściem Nałęczowa. W Bochotnicy, niedaleko kościoła, stoi jego dom rodzinny. Obszerny, dwutomowy maszynopis został wreszcie przyjęty do druku przez lubelski oddział KAW, ale — ze względów wydawniczych — musiał zostać skrócony o połowę. Kiedy już myśleliśmy, że przebrnął przez wszystkie trudności, okazało się, że są kłopoty z papierem. Teraz więc członkowie naszego Towarzystwa zabiegają o przydział papieru na druk „Dziejów Nałęczowa". Nie ograniczamy się więc, jak pan widzi, do organizowania jedynie wystaw, odczytów czy spotkań literackich.

— Towarzystwo Przyjaciół Nałęczowa jest, o ile wiem, jedną z najstarszych organizacji tego typu na Lubelszczyźnie?

— Najstarszą. Powstało już w 1909 r. Zachował się w naszym archiwum ówczesny statut założycielski Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa, z akceptacją władz carskich. Towarzystwo skupiało licznych członków, mieszkańców Nałęczowa oraz „wakacyjnych" przybyszów, przede wszystkim przedstawicieli inteligencji i sfer artystycznych. Było w nim wielu pracowników Uzdrowiska; pierwszym prezesem został p. Sacewicz, z zawodu prawnik.

— A wśród pierwszych członków Towarzystwa znaleźli się, oczywiście, Stefan Żeromski i Bolesław Prus...

— Właśnie, że nie. Takie panuje powszechne przekonanie — może z tego m.in. powodu, że znana jest aktywna działalność Stefana Żeromskiego w miejscowym oddziale Towarzystwa „Światło". Ale sędzia Tarka nie znalazł potwierdzenia na temat przynależności obydwu znakomitych pisarzy do Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa. Warto tutaj przypomnieć, że w 1909 r. Żeromski nie mieszkał już w Nałęczowie, miał do niego zawitać dopiero po latach, a Prus był schorowany, w 1912 roku umarł. Natomiast w okresie „odrodzenia" działalności Towarzystwa, w latach siedemdziesiątych, w skład jego członków wchodzili m.in. Jan Parandowski i prof. Władysław Tatarkiewicz, o czym też pewnie niewiele osób wie.

— Mówi pan o o d r o d z e n i u się Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa...

— Tak. Bo po przerwaniu działalności z chwilą wybuchu II wojny światowej, wznowiło swoje istnienie — zresztą po kilku nieudanych, powojennych próbach — w roku 1970. Inicjatorem i organizatorem całego przedsięwzięcia był ówczesny dyrektor Uzdrowiska Nałęczów — wilnianin z pochodzenia, absolwent prawa na tamtejszym Uniwersytecie im. Stefana Batorego, świetny organizator — Jan Głowecki. Członkami założycielami reaktywowanego w 1970 r. Towarzystwa byli starzy nałęczowiacy: wieloletni dyrektor Uzdrowiska dr Szczepiński (związany z Nałęczowem jeszcze od lat przedwojennych); dyrektor Liceum Ekonomicznego — Stefan Paczos; radca prawny Uzdrowiska Otto Kot — który zredagował nasz obecny statut — i inni. Ja w pierwszym zarządzie zostałem członkiem komisji kultury.

— A kiedy został pan prezesem?

— W 1974 r. Powiem panu, że chętnie podjąłem się tej roli: poza zamiłowaniem do malarstwa, które jest moim zawodem, posiadałem zawsze pasje i zamiłowania społecznikowskie, wyniesione jeszcze z przedwojennego harcerstwa...

— Ilu członków liczy Towarzystwo Przyjaciół Nałęczowa?

— Stu dwudziestu.

— Jakie są główne cele Towarzystwa?

— Ochrona dóbr kulturalnych Nałęczowa i okolicy, ochrona środowiska, czyli wszystkich wartości krajobrazowych, jak zieleń, ukształtowanie terenu, zabytki, no i oczywiście, różne formy pracy kulturalnej. Tutaj chciałbym powiedzieć przede wszystkim, że kilka lat temu Towarzystwo stoczyło ostrą walkę o zakaz budowy sanatorium dla pracowników fabryki ze Świdnika, które miało stanąć przy Alei Lipowej. Zniszczyłoby to zabytkowy charakter głównej alei Nałęczowa i zdeformowało cały zespół architektoniczny miejscowości. Poza tym organizujemy plenery rzeźbiarskie i malarskie dla plastyków zawodowców, konkursy literackie, do udziału w których zapraszamy literatów związanych pamięcią lub życiem z Nałęczowem. Wychodzimy bowiem z założenia, że ludzie pamiętający dawny Nałęczów odchodzą coraz częściej na zawsze, a często i wspomnienia o nich samych zacierają się w pamięci potomnych. Wielką satysfakcję sprawiły nam swego czasu wspomnienia i opowiadania nadesłane przez Marię Kuncewiczową i Ewę Szelburg-Zarembinę... Zorganizowany plener graficzny zaowocował wydaną później teką — „Nałęczów w grafice", plener rzeźbiarski dał 18 popiersi sławnych osób związanych z nałęczowskim krajobrazem: m.in. Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, Witkiewicza, Andriollego, Faustyny Morzyckiej (prototypu „Siłaczki" Żeromskiego)... Ostatnio, w 1984 r., zorganizowaliśmy kolejny plener malarski pod hasłem: „Pejzaż Nałęczowski". Mamy tutaj, nawiasem mówiąc, sporą „kolonię" artystów plastyków zamieszkałych na stałe: Michał Pudełko, Stanisław Strzyżyński, Krzysztof Górniak, ja... oraz cała nowa generacja plastyków, wykładowców w Liceum Technik Plastycznych.

— Działacze kulturalni zwracają uwagę, że w czasie ostatnich kilku lat działalność towarzystw regionalnych nie tylko nie osłabła, ale jeszcze się nasiliła...

— Tak. I nawet powstają nowe towarzystwa, ostatnio w Urzędowie i w Kocku. Właśnie w Kocku, jesienią tego roku, w nowo odrestaurowanym pałacu odbędzie się Wojewódzki Zjazd Towarzystw Regionalnych. Od trzech lat działa Wojewódzka Rada Towarzystw Regionalnych, pierwszy tego rodzaju twór organizacyjny, rodzaj wojewódzkiego „centrum", grupującego przedstawicieli wszystkich istniejących w województwie towarzystw regionalnych.

— Wspomniał pan o społecznikowskich pasjach wyniesionych jeszcze z czasów przedwojennych, z harcerstwa. To było na Lubelszczyźnie?

— Na Wołyniu. W moim rodzinnym Łucku, w drużynie gimnazjalnej. Na Lubelszczyźnie znalazałem się dopiero w kilka lat później, w czasie okupacji. Bo wojna, proszę pana, zaskoczyła mnie, jako szesnastoletniego chłopca, w Warszawie, gdy pojechałem odwie-

Prosić Boga o upośledzenie?

Dokończenie ze str. 1

ej toalety, zamalowywaniem kruszących ścian, stłoczonymi łóżkami w ypialni. Na cały zakład jest tylko jedna sprzątaczka. Dzieci sprzątają same. W tapczanach trzymają buty, jedzenie czystą bieliznę. Nie mają pasty do zębów i papieru toaletowego. Akurat ak się składa, że u dziewcząt w sanitariatach jest przeważnie zimna woda.

Żywienie obywa się bez dietetyka i adłospisów. Jest go za mało jak na adpobudliwe dzieci z ogromnym apetytem, które śniadanie jedzą o godzinie siódmej, a obiad dopiero o pierwszej. Na śniadanko na przykład śledź, lbo chleb, kawałek smalcu z kostki czarna kawa. Nie na darmo kucharz zierdzi, że w wojsku wiedział, jak rmić, więc zupę mleczną serwuje kolację. Gdy zepsuje się samochód, eci trzy razy dziennie dostają kluski. Jeśli źle zostaną obliczone porcje, i koniec obiadu otrzymują po dwa rogi. Jedzą bez surówek, chyba że rat są sałatki konserwowane. Nie dosyć sztućców, zupę nalewa im kubłów, a kompoty — o ironio — iz. Przyjazd samochodu ze świeżym mięsem witają spontanicznie eb prawie rozrywają, nim zostanie wyładowany. Na szczęście nikt wtedy dzieci nie odpędza.

W zakładzie nie ma lekarza ani pielęgniarki, a tym bardziej logopedy i kogoś do gimnastyki korekcyjnej. No i oczywiście brak sprzątaczek oraz praczek. Brak mieszkań dla nauczycieli. Mimo zmniejszenia liczby pensjonariuszy nie rozgęszczono sypialń. Za to rozrosła się administracja! Od dwu lat remontowana jest stróżówka, świetna na harcówkę. Jest jeszcze strych, ale do niego trzeba wyobraźni większej niż do remontowania rozsypującej się sali gimnastycznej. Biblioteka w paru szafach, książki w dwu rzędach. Najlepsze zginęły, zanim wzięła je pod klucz nowa bibliotekarka. Nie ma pracowni dla „klasy życia", w której dzieci powinny nauczyć się podstawowych umiejętności, żeby nie absorbować sobą otoczenia. Przede wszystkim nie ma kuchenek i stanowisk do szycia, wygodnego stołu i paru innych przedmiotów, które w życiu się przydają. Za to w świetlicy na rozchwierutanym stoliku dzieci robią jajka faszerowane. Z tej lekcji zapamiętają głównie niewygodę, bo czy poznają sztukę samodzielnego obsłużenia się, wątpliwe.

A cóż na to wychowawcy i nauczyciele? Najpierw zgodnie milczą. Jakże słusznie robią, zważywszy, że dyrektor umie prowadzić dochodzenie, co kto powiedział. Lecz jednak wreszcie mówią — przede wszystkim o swojej niepewności jutra. Każda uwaga, z jaką idą do dyrektora, jest przyjmowana za osobistą napaść. Kto za wiele chce zmienić, automatycznie wyrabia sobie złą opinię. Ta prowadzi do nieprzedłużenia umowy lub do zwolnienia. A nauczycieli jest na tyle dużo, że odejście jednej czy paru osób nie stanowi problemu. Za to reszta dobrze zna mores. Niektórzy związani są służbowymi mieszkaniami, więc też uważają, co mówią. Jako przestrogę opowiada się historyjkę młodej nauczycielki, której narzekania zostały podsłuchane mikrofonem spuszczonym na sznurku. Starsza koleżanka broniła ją, tłumacząc pochopność narzekań... młodoś-

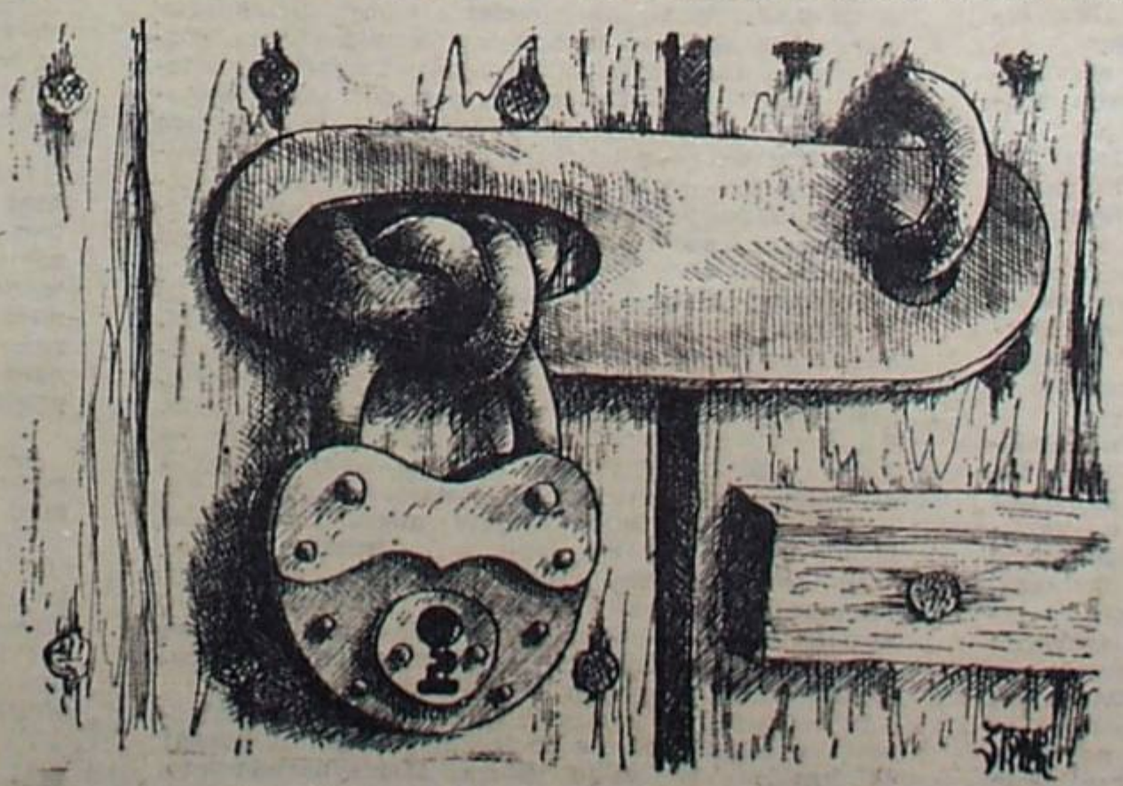

Rys. Zygmunt Pytlik

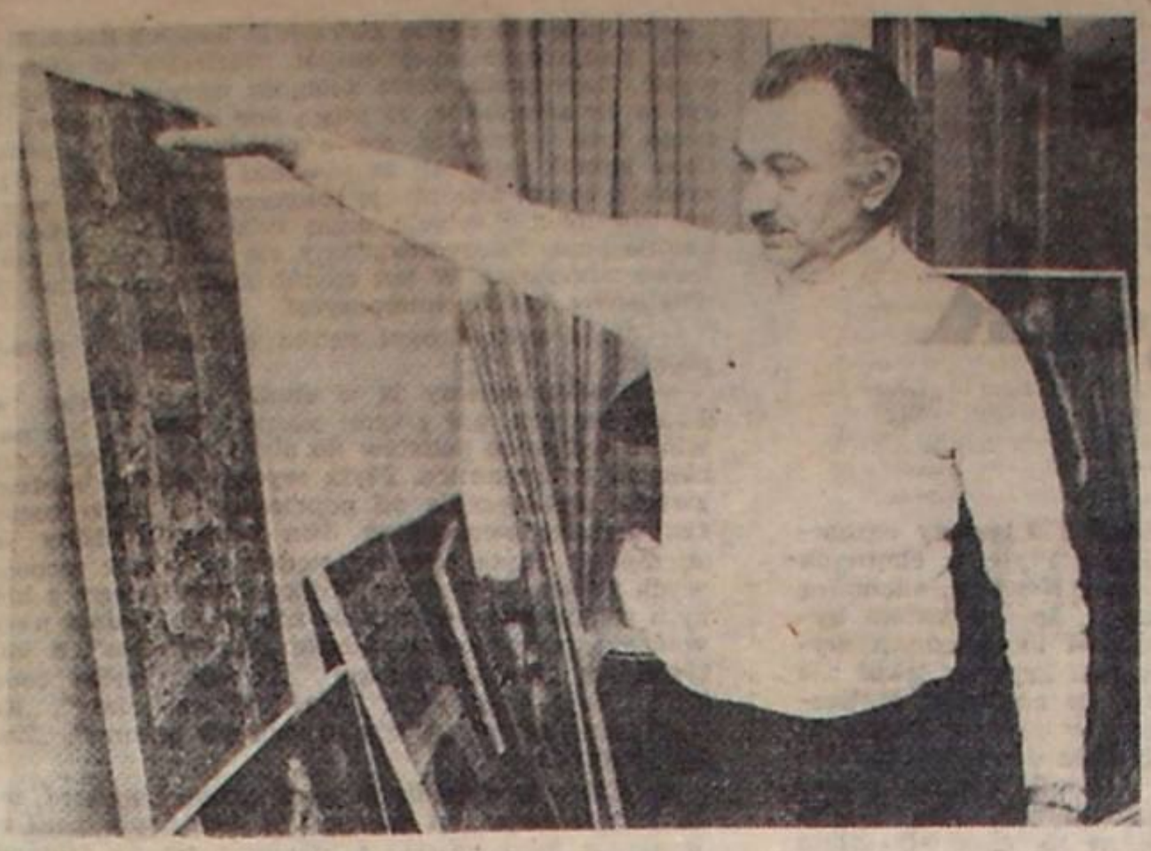

Fot. Archiwum

dzić rodzinę. Przeżyłem oblężenie stolicy. Później, w 1941 r., znaleźliśmy się w Rejowcu, bo tam było łatwiej żyć. I to było moje pierwsze zetknięcie się z lubelskim regionem. Tutaj wstąpiłem do organizacji podziemnej, a na przełomie 1943 i 1944 r., po aresztowaniu w Rejowcu, przesiedziałem kilka miesięcy w więzieniu w Chełmie. Po wyjściu z więzienia, co graniczyło niemal z cudem, uciekłem na wszelki wypadek do Warszawy, gdzie miałem kontakty, także organizacyjne, od czasu, gdy w 1942 r. zostałem zaprzysiężony jako członek ruchu oporu. Więc w Warszawie dostałem przydział do batalionu harcerskiego „Parasol", przyjąłem pseudonim „Jol" i przebyłem w szeregach „Parasola" całe Powstanie Warszawskie. Walki na Woli, Starym Mieście, Przyczółku Czerniakowskim. Po przepłynięciu Wisły, ciężko ranny, znalazłem się w szpitalu w Lublinie. W Lublinie — pierwszy raz w życiu. Potem... Potem było kilka lat, do których wolę nie wracać pamięcią.

— A kiedy zetknął się pan po raz pierwszy z Nałęczowem?

— W 1953 r. Przyjechałem tutaj, aby znaleźć jakiś pokoik na lato dla schorowanej matki. No i z miejsca zachwyciłem się. Może by tak zamieszkać tutaj na stałe? — pomyślałem. Mieszkanie w Lublinie miałem marne, zawód, który wówczas uprawiałem dla chleba, mogłem wykonywać w każdej miejscowości. Władysław Filipiak, którego spotykałem podczas malarskich wypadów do Kazimierza, gorąco popierał te moje wstępne zamysły. Mówił, że malarz powinien żyć w bliskości z przyrodą, z dala od wielkomiejskiego zamieszania i artystycznych koterii. Zawierzyłem mu i dobrze na tym wyszedłem. Nadarzyła się akurat działka przy ulicy Prusa — ziemia była wówczas tania — miałem trochę pieniędzy, kupiłem. Resztę należności właściciel rozłożył na kilka lat. Udało mi się postawić na tej działce niewielki, trzyizbowy domek drewniany. No i jakoś zacząłem żyć w tym Nałęczowie... Ożeniłem się, mam syna, z biegiem lat dorobiłem się — dzięki realizacjom pomników w Rąblowie i w Kocku — tego oto „prawdziwego" murowanego domu z obszerną pracownią. I tak sobie wrastam powoli, z roku na rok, nieodwracalnie, w nałęczowski pejzaż...

— Nie żałował pan nigdy, że się pan „zakopał" na prowincji?

— Nigdy. Zresztą, jaka prowincja? Nałęczów to dla pana prowincja?!!!

— Nigdy pan nie myślał o powrocie do Lublina?

— A, Boże broń! — panie Mireczku. A, Boże broń...!!!

Rozmawiał:
Mirosław Derecki

---

cią. Tak czy owak tylko samobójcy dyskutują z dyrektorem, domagają się informacji o budżecie, prawnej podstawy ogłaszanych przepisów, chcą partnerstwa.

Ich generalny zarzut dotyczy braku dyrektorskiej troski o dzieci, wynikającego z umiłowania błogiego spokoju. Jedna z nauczycielek powiedziała: „Od kiedy pracuję, nie widziałam, żeby dyrektor coś zrobił dla dzieci". Inna: „Jeżeli czegoś nie wydębię, nie mam! Z własnej inicjatywy dyrektor nie okazuje życzliwości żadnej sprawie. Nie rozmawia z nami, nie pyta czy czegoś potrzebujemy. Ukrywane są przed nami uprawnienia rady pedagogicznej, ale też my, jako rada, niczego nie zdecydowaliśmy. To smutne".

Tymczasem wspomina się wspaniałych nauczycieli, którzy odeszli lub którzy się zmęczyli. Pana Janka Embingera wspominają również dzieci, bo nie szczędził im czasu i pomysłów. A jednak nie przedłużono z nim umowy...

Nauczyciele narzekają, że nie mogą stworzyć dzieciom atmosfery domowej stabilności, bo wcześniej zostają zwalniani. Ostatnio dostała wypowiedzenie nauczycielka, która też za dużo chciała, a nawet wymagała, i co tu kryć — wiele dla dzieci zrobiła.

Dyrektor ciągle rozważa i porównuje wykształcenie nauczycieli, ale po to, żeby sprytnie nimi żonglować. W tym względzie jego rozdział zajęć według kompetencji jest konsekwentny, choć mało sprawiedliwy. Jedna z nauczycielek stwierdziła: „Pani dyrektorowa nie ma studiów, ale jest lepsza". Druga dodała: „Kiedy dyrektorowa pracowała w internacie, jej dodatek specjalny przysługiwał. Mnie nie".

Podział na pracowników lojalnych, a więc posłusznych, i na potrzebnych, a więc bezkarnych — jest widoczny. Jedni i drudzy wciąż pracują, reszta przychodzi po to, żeby odejść. I tak kucharz, który jedne dzieci foruje, inne karci małą porcją — trwa na stanowisku, mimo że pije. Zaś wychowawczyni, która utrwaliła ten fakt w notatce służbowej, została wyśmiana, a obecnie szykuje się jej wymówienie. O piciu w zakładzie można zresztą opowiedzieć parę anegdot, których prawdziwa wymowa jakoś nie docierała do świadomości dyrektora. Cóż, zakład na uboczu, skandal dało się zaklepać. Teraz nikt nie dojdzie, czy upośledzone panienki same rzuciły się w objęcia pijanych pracowników, czy zostały w nie schwytane. Tak czy owak ich cnota uzyskała cenę obciętej premii...

Dyrektor nie lubi przykrych zarzutów, więc sporo dementuje. Wszystko złe powiedzieli ci, którzy mają odejść, oczywiste, że opowiadali brednie we własnym interesie. Racje dyskredytowały nazwiska rozmówców i zresztą one były tu najważniejsze. Więc nie mogło być prawdą, że szpital, do którego przywieziono chłopca z zakładu, wyraził zdumienie: „Jak mogliście do takiego stanu dopuścić", bo opieka lekarska była przecież wystarczająca. Nauczyciele i wychowawcy jak najgorzej ją oceniali w swojej codziennej praktyce — dyrektor zakładu nie miał wobec niej zastrzeżeń. Przy takiej rozbieżności sądów w każdej sprawie, przewagę mogłaby tylko gwarantować siła głosu.

A właśnie — czyj głos okaże się tu silniejszy?

Jeżeli dyrektora — dzieci powinny prosić Boga o większe upośledzenie, zaś ambitni i młodzi nauczyciele omijać Bystrzycę wielkim kołem. Jednak, gdyby przypadkiem komuś ważnemu zakręciła się łezka — może dzieci stałyby się wreszcie nie utrapieniem, lecz sensem istnienia zakładu?

Anna Bocian

Okolice sztuki

Onan w sosie obcym

PEWIEN młody pan („pan nie poda ręki sukom/pani padnie przed tajemnicą spermy" — z poezji studenckiej) obnosi się ostatnio po galeriach „od sztuki" z pokazami masturbacji au naturel, video i bodaj telefoto, której przydaje sens głębszy, prawie denny, bo nihilistyczny. Krąży zresztą plotka, że proceder ów uprawiany jest przez pieszczocha od lat i w związku z tym ciekawić może, ile on na tym zarobił?

W Ameryce działa facet, któremu matka natura zaflancowała w kroczu istną armatę, dzięki czemu ten rosły blondyn — zdumiewająco podobny do jednego z naszych aktorów-woltyżerów — opływa w dostatki, choć pracuje z doskoku i ani myśli o zapisaniu się do związku zawodowego. U nas uznano by go za pasożyta oraz chwieja (od „chwiejny") — i tu leży pies pogrzebany między socjalizmem i kapitalizmem, kompromitujący zasadność pytania o fortunę rodaka, która jakoby wytrysnęła mu podczas wiadomych seansów. Nie ulega wątpliwości, że świadom swego miejsca na ziemi, działa bezinteresownie, con amore. W ministerialnym cenniku spotkań autorskich w Polsce nie ma zresztą pozycji: „spotkanie z koniobijem". Przykre, ale prawdziwe.

Prawdziwy smutek tej sprawy rozwija się przecież w innej sferze: komparatystyki artystycznej. Kiedy bowiem rzucimy okiem na dzieje sztuki najnowszej, to natychmiast przed tym narządem stanie nam głośna impreza „Kunst und Revolution", urządzona swego czasu w wiedeńskiej Wyższej Szkole Technicznej. Grupa artystów-akcjonistów dała tam ognia ze wszystkich rur i otworów, a do tego na mokro. Taki Günther Brus posikał się, wypił to, no i oczywiście zwymiotował, co jednak nie osłabiło wcale jego weny twórczej, albowiem zdobył się jeszcze na zrobienie kupy i rozmazanie jej po ciele, kończąc występ dziarskim onanizmem. Niebanalne działania zaprezentowało też trzech innych nagusów, organizując ad hoc zawody w sikaniu na odległość, by następnie, zyskawszy wsparcie słynnego Otto Mühla, oddać się pozorowanej masturbacji przy pomocy rytmicznie głaskanych butelek, które pozytywnie odpowiedziały na te pieszczoty i trysnęły spienionym piwem na publiczność. (Piotr Krakowski odnotował inteligentnie, że panowie robili to „postękując").

Rzecz jasna, cała akcja, obejmująca inne jeszcze numery, odbywała się w intencji sponiewierania kapitalizmu, miała charakter prowokacji obyczajowej i politycznej. Kapitalizm nie dał się jednak zasikać na śmierć i zaraz potem osadził Brusa i Mühla w areszcie.

Istotne przy tym, że działo się to dawno — w 1968 roku, siedemnaście lat temu!

Publiczne manipulacje penisem własnym upodobali sobie zresztą i inni aktywiści niegdysiejszych ruchów kontestacyjnych. Taki Vito Acconci wlazł pod drewniany pomost, gdzie uprawiał samogwałt, ale oryginalnie, w rytmie zmiennym, proporcjonalnym, jak wyznał, do podniecenia stymulowanego tupotem spacerującej nad nim publiczności. (Kilka lat temu miałem okazję uścisnąć dłoń artysty — o czym lojalnie informuję tych wszystkich, którzy wyciągają do mnie ręce.)

Popisy Amerykanina, który utrzymuje się głównie z występów na uniwersytetach, wypada wszak uznać za wielce wyrafinowane — wobec czynu pewnego męża, własnoręcznie amputującego sobie to i owo. „Mistycyzm rzeźnika", albo „onanistyczne poczucie winy — masochistyczny aspekt hedonizmu", jak powiedziałby pewien pan, pokpiwający z tzw. pseudofeministek lubelskich, podobno pokwikujących radośnie w wieży z kości cielęcej LDK.

Więc smutek sprawy naszej współczesnej polega na tym, że harcownicy galerii polskich nie potrafią nawet onanizować się na własną rękę! Cytują ciągle cytują innych (zapominając o znakach cudzysłowu), podpinają się pod zachodnie „ideologie": kontrkultury, ruchów alternatywnych, anarchizmu i nihilizmu, które w tamtym świecie mają przynajmniej znamiona zjawisk autentycznych, wyrosłych na gruncie ustrojowym.

Zarzut naśladownictwa, kierowany pod adresem rodzimych działaczy galeryjnych, jest jednak odpierany przez nich z uśmiechem politowania, jakim traktuje się prostaczków, którzy nie odróżniają akcydentalności technik czy metod manifestacji od pryncypialności postaw. Twierdzą oni, że każdy sposób jest dobry dla wyrażenia stosunku artysty do świata: ludzi, rzeczy, sztuki i do siebie samego, a ponadto — że sens działań twórczych w poważnym stopniu profilują konteksty społeczne, kulturowe czy cywilizacyjne, w jakich spełniają się takie przedsięwzięcia. Inaczej mówiąc: inne treści i doznania ewokować będzie np. onanizm w Nowym Jorku, inne zaś — w warszawskiej galerii „Dziekanka" lub choćby w jakimś lubelskim wydziale kultury.

Rys. Adam Lep

Mnie się przecież wydaje, że w każdym z tych przypadków ujawni się jedna i ta sama postawa: na baczność, z lekkim odchyleniem od brzucha, jak to ze znajomością rzeczy zilustrował na planszy autor pokazu „Nihilizm intelektu", który otwarto 24 maja przy ul. Narutowicza 4, proponując też młodej widowni i nestorowi malarzy lubelskich (88 lat) między innymi film „Nihilistyczny Alians Orgiastyczny" oraz video „Masochistyczna Masturbacja Metafizyczna".

Owszem, istnieje sposób wyprowadzenia naszego onanizmu artystycznego na drogę bezdyskusyjnie autentyczną, wręcz narodową — bez protezy intelektualnych spekulacji. Wystarczy, że zwolennicy tego ruchu zaczną występować w czapkach-krakuskach z pawim piórem. Choćby na głowie.

IJK

PS. Byłem dotąd przekonany, że nie istnieje w regionie coś takiego, jak polityka kulturalna w sferze sztuki. Obecnie zmieniam zdanie — po otrzymaniu katalogu wystawy plakatów w jednej z państwowych placówek wystawienniczych Lubelszczyzny. Wśród wymienionych tam — w poetyce pełnej apoteozy — grafików wrocławskich znajduje się i nazwisko Jana Sawki, który od dłuższego już czasu mieszkając stale w USA, z wyjątkową perfidią, zaciekłością i konsekwencją opluwa publicznie Polskę Ludową, gdzie był ceniony i nagradzany.

Wanda Kwietniewska:

kobieta - pająk

KONCERTOM zespołu Banda i Wanda towarzyszy euforia fanów. Nic w tym dziwnego, skoro proponowane piosenki pulsują ognistym rytmem, angażującym do tańca i wiwatów pod sceną. Atmosfera towarzysząca ekstatycznym recitalom kobiety-pająka Wandy Kwietniewskiej, tańczącej przez cały czas w rytm motorycznej muzyki jest niepowtarzalna. Po występie, który kosztuje bohaterkę wieczoru sporo energii, Wanda nie traci wigoru i chętnie odpowiada na pytania.

— *Czy nie za bardzo eksploatuje się pani na estradzie?*

— Nie potrafię inaczej. Każde inne zachowanie byłoby nieautentyczne. Zespół wykonuje dynamiczną muzykę, angażującą mnie zupełnie. Przeżywam ją emocjonalnie i bezwlednie poddaję się rytmowi. Zresztą nie mogłabym stać sztywno przez kilkadziesiąt minut za statywem mikrofonu. Moje tańce nie są wydumane, z góry zaaranżowane. Ja po prostu spontanicznie reaguję na to, co słyszę. Obserwuję, że podobnie reaguje spora część moich słuchaczy.

— *Pierwsza pani płyta nie zrobiła co prawda plajty, niemniej spotkała się z ostrą krytyką niektórych publikatorów. Czy liczyła się pani z podobnym przyjęciem?*

— Spodziewałam się tego, choć przyznam: w nieco łagodniejszym, mniej napastliwym tonie. Ta ostra momentami reprymenda nie powinna być adresowana do zespołu. Wszyscy, którzy zakupili krążek, wiedzą dobrze, że na drugiej stronie koperty umieściłam kilka słów od siebie i zespołu. Pisaliśmy tam, iż pierwszy album Bandy i Wandy jest luźnym zestawem piosenek, stanowiących zapis początkowego etapu działalności grupy. Jeśli ktoś zarzuca mi teraz, że jest to bezsensowny zlepek różnych w klimacie nagrań, to ja się śmieję. Po prostu umieściłam wszystkie 12 piosenek, jakie dotąd napisaliśmy i zarejestrowaliśmy w studiu. Oczywiście można dyskutować, czy takie wydawnictwo ma sens i powinno w ogóle się ukazać. Jednym może się ono podobać, drugim nie. Dla mnie istotne jest nie zdanie krytyka, lecz przyjęcie odbiorcy. W tym względzie jestem spokojna, bo wyniki są zaskakujące. Wytłoczono ponad 150 tysięcy egzemplarzy, zdążyłam odebrać Złotą Płytę, a chętnych do nabycia albumu nie brakuje. Niestety, odchodzą od lady z kwitkiem. Przyznaję, że nie jestem bynajmniej zachwycona poziomem technicznym wydawnictwa, czego nasi wspaniali krytycy jakoś nie wytknęli. Wzięło się to stąd, że nagrania realizowane były w różnym czasie i w różnych studiach. Przy zgrywaniu całości materiału dźwiękowego należało dokonać korekcji i pojawiły się na płycie nieprzewidziane szumy. Zgodziłabym się, gdyby krytykowano płytę właśnie za to, choć słyszałam już o wiele gorsze technicznie. Ataki idą jednak w innym kierunku. Ten i ów chce mi przykleić łatkę, co mającemu pióro w ręku i miejsce w gazecie przychodzi bez trudu.

— *Jak pani reaguje na krytykę?*

— Różnie. Zależy kto i w jaki sposób ją uprawia. Cenię rzetelną krytykę. Doskonale zdaję sobie sprawę ze swych wad interpretacyjnych. Staram się je w miarę możliwości maskować. Jeśli ktoś wypatrzy mimo wszystko moje niedostatki i zwróci na nie uwagę, to się z tym godzę i dokładam starań, aby w przyszłości lepiej i skuteczniej eliminować wady. Jeśli ktoś pisze totalne bzdury, nie mające związku z tym, co robię, ani muzyką, to zwyczajnie śmieję się z takiej recenzji. Muszę powiedzieć, że do tej pory znalazłam mało rzeczowej krytyki pod własnym adresem.

— *Na jakim wykonawcy wzoruje pani swój styl?*

— Nie mam takiego wzorca, choć jak każdy człowiek z branży estradowej przeżywam i ja okresowe fascynacje różnymi zespołami, solistami. Od pewnego czasu ideałem moim i zespołu są nagrania grupy YES. Szalenie nam się one podobają i czasami staramy się robić coś, co brzmiałoby podobnie, lub Yes przypominało. Nie jest to oczywiście łatwe, ale próbować warto. Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Eksperymenty muzyczne są zawsze podnietą dla nowych, klawych kompozycji.

— *Ujawniła się pani nie tylko jako liderka, solistka, ale też kompozytorka. Co było tego powodem? Wynikało to z pani wewnętrznej potrzeby wypowiedzi, czy raczej spowodował to brak ciekawych ofert ze strony zawodowców?*

— Zwyciężyła chyba ciekawość nowych doświadczeń. Zakładając nowy zespół, musiałam od czegoś wyjść. Zaproponowałam kolegom własne kompozycje ze świadomością, że mogą one nie być najwyższego lotu i spotkać się z chłodnym przyjęciem. Czas jednak pokazał, że piosenki obroniły się. Ba, zyskały nawet akceptację słuchaczy w różnym wieku. Na drugiej płycie mam tylko jedną własną kompozycję. Zdecydowaliśmy się pisać więcej piosenek zespołowo. W ten sposób każdy ma wkład w ostateczny kształt kompozycji.

— *Może uchyli pani rąbka tajemnicy o nowej płycie?*

— Realizowaliśmy ją w studiu szczecińskim w dwóch sesjach, ale z tymi samymi ludźmi. Nie powinno być więc podstaw do obaw o potknięcia, czy różnice w dynamice. Płyta wydaje mi się bardziej zwarta stylistycznie od poprzedniej i nieco bogatsza brzmieniowo. Przez dwa lata zdążyliśmy już okrzepnąć. Płyta zawiera siedem utworów zespołowych i dwa autorstwa Wojtka Trzcińskiego, z którym współpracowaliśmy do niedawna. Całość nazywać się ma prawdopodobnie „Mamy czas", a inne tytuły to „Drętwa mowa", „Po nas choćby country", „Heja, heja, hej", „Ach jaki wspaniały", „Kochaj mnie miły", „Życie układa się parami", „Znowu Paskuda".

— *Kiedy odchodziła pani od grupy Lombard, mało kto skłonny był wierzyć w możliwość pani zaistnienia jako solistki i przebicia się do czołówki. Niektórzy kreślili znaki na czole. Jak teraz ocenia pani pracę z nowym zespołem?*

— Dochodzę do wniosku, że poczyniłam najwyraźniej złe założenia. Pewnie dlatego, że jestem maksymalistką i chciałam szybko osiągnąć zbyt wiele. Powinnam pamiętać, że maksymaliści nie mają łatwego żywota. To, co mam z zespołem w tej chwili, już mnie specjalnie nie cieszy. Chciałabym iść dalej, robić coś nowego, lepszego. Niewiele brakowało, a pożarłyby mnie całkiem ambicje. Na swoje szczęście otrzeźwiałam. Zrozumiałam, że pewnych spraw i okoliczności nie da się do końca przewidzieć. W chwili startu z Bandą zakładałam, że za dwa lata będzie znacznie lepiej, niż potwierdziła to rzeczywistość. Prawdę mówiąc, przeżywam teraz niełatwy okres, z pewnością cięższy od tego z początków samodzielnej pracy. Wtedy wiele spraw nas uskrzydlało, pracowaliśmy jak w amoku, dopingowaliśmy się wzajemnie. Dziś utrzymanie osiągniętej pozycji i twórcze rozwijanie własnego image nastręcza nieporównywalnie więcej trudności. Piętrzą się one na każdym kroku. Nawet w zespole. Przez długi czas nie mieliśmy odpowiedniego impresaria, który chodziłby za naszymi sprawami, byłby rzutkim organizatorem. Przegrywaliśmy więc w konkurencji z innymi wykonawcami, choć nie zależało to od naszych umiejętności, czy sił twórczych. Zbyt rzadko gościliśmy na antenie. Mam cichą nadzieję, że będzie lepiej, że przezwyciężymy trudności i pójdziemy znacznie do przodu. Muszę przekonać jeszcze o tym moich sympatyków.

— *Szczerze pani tego życzę.*

Rozmawiał: **Istvan Grabowski**

Ekran i widz

Filmowa zagadka

U NAS tak mnóstwo rzeczy robi się na opak, że właściwie nie powinno dziwić, iż kiedy już kupujemy i wprowadzamy na ekrany film z serii o Supermanie (serii rozpoczętej notabene przed ponad sześciu laty), jest to... „Superman III", a nie — „Superman", a następnie „Superman II". Młody, kilkunastoletni widz, dla którego ten film jest przede wszystkim przeznaczony, nie może przez dłuższy czas połapać się, o co tutaj właściwie chodzi, przedstawiono mu bowiem na ekranie kolejny „rozdział" opowieści, o której początku i środku nic nie wie. Na dodatek „literatura przedmiotu", zarówno na temat filmów o Supermanie, jak i w ogóle na temat owego superczłowieka, komiksowego bohatera tak niezwykle mocno zrośniętego z amerykańską masową kulturą ostatniego pięćdziesięciolecia, jest u nas prawie zupełnie nieznana.

Twórcami postaci Supermana, przybysza z międzygwiezdnych przestrzeni, wcielonego w ludzką postać, ale obdarzonego nadludzką mocą, byli dwaj amerykańscy autorzy „literatury komiksowej": Jerry Siegiel, autor tekstów oraz Joe Shuster, rysownik. On to właśnie naszkicował sylwetkę wysokiego, muskularnego mężczyzny o zdecydowanej twarzy i „przenikliwym" spojrzeniu i przyodział go w obcisły szafirowy trykot, czerwony kostium zapaśnika oraz, zarzuconą na ramiona, również czerwoną, pelerynkę. Na nogach nosił Superman wysokie, obcisłe buty do kolan, a na piersiach i plecach miał wyszyty swój emblemat: stylizowaną literę „S".

Odcinki z przygodami Supermana rozpoczęły ukazywać się w 1938 r., w piśmie „Action Comics" i od razu zyskały ogromną popularność. Superman przybył na Ziemię, aby czynić dobro, pomagać ludzkości, wykorzystując swoje niezwykłe możliwości istoty z zaświatów. Jedną z bardzo spektakularnych cech Supermana była jego umiejętność niezwykle szybkiego poruszania się w powietrzu; z łatwością przebijał pięścią najmocniejsze bariery, kruszył mury, odwracał dłonią tor wystrzelonych w jego kierunku pocisków. Superman powstał i zdobył popularność właśnie wtedy, gdy — jak pisała Maria Oleksiewicz w jednym z kwietniowych numerów tygodnika „Film" z 1979 r. „żywa była jeszcze pamięć o Wielkim Kryzysie, a poprzez Atlantyk docierały coraz bardziej niepokojące wieści o triumfującym faszyźmie, kułcie wysokich jasnowłosych Aryjczyków. Niezwykłe wyczyny Supermana łagodziły kompleksy, a w czasie wojny podbrzymywały zapał amerykańskich żołnierzy". Dla nas, spotykających się dzisiaj z Supermanem po raz pierwszy, jego strój może wydawać się cokolwiek dziwaczny, lub nawet wręcz zabawny, a jego wyczyny i reakcje mogą po prostu śmieszyć. Dla milionów Amerykanów jest to jednak postać sui generis historyczna, przejmowana z ojca na syna i na wnuka już na zasadzie pewnej tradycji.

W oparciu o komiks narodził się przed laty film rysunkowy o Supermanie, nakręcono o nim w Stanach Zjednoczonych cały serial telewizyjny, powstał nawet musical. Jednak te wszystkie przedsięwzięcia były tworzone głównie z myślą o rynku wewnętrznym, amerykańskim. Dopiero kinowa realizacja „Supermana" z 1978 r. wyprowadziła tego specyficznie amerykańskiego bohatera poza granice Stanów Zjednoczonych.

„Superman" startował jako kolosalna, kosztująca 35 milionów dolarów „superprodukcja" z gatunku „sience fiction", mając za konkurentów nakręcone rok wcześniej „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" Spielberga oraz baśniowo-komiksowe „Gwiezdne wojny" Lucasa.

Rozpoczynała się właśnie epoka kina-baśni, kina wykorzystującego niezwykłe osiągnięcia filmowej techniki trickowej ostatnich lat, charakteryzującego się zarazem swoistą „poetyckością", czerpiącego pełnymi garściami z osiągnięć i doświadczeń komiksu. I w tym właśnie trendzie kinowym mieściła się doskonale tematyka i estetyka artystyczna „Supermana".

Reżyserii filmu podjął się Richard Donner, twórca głośnego „Omenu". Zaangażowano gwiazdy aktorskie tej miary, co Marlon Brando, Gene Hackman, Glenn Ford, Terence Stamp, Maria Schell. Postać samego Supermana kreował wysoki, barczysty, przypominający odtwórcę Tarzana z lat trzydziestych, słynnego Johnny Weissmüllera, nieznany dotąd aktor amerykański, Christopher Reeve. Przystojny, „dragalowaty" pozornie niezdarny, o ciemnej, gładko zaczesanej, z „brylantynowym" połyskiem, czuprynie miał ten filmowy Superman zarazem coś z Travolty i może nawet coś z Sylvestra Stallone.

Pracował nasz bohater (słuchajcie, słuchajcie, moi koledzy po fachu!) jako skromny dziennikarz, reporter „Daily Planet" w wielkim mieście Metropolis. Lecz gdy zdarzały się sytuacje, którym nawet dziennikarz całą mocą i potęgą swego zawodu nie może zaradzić, przeistaczał się w jednej chwili ze zwykłego w superczłowieka. I... paroma uderzeniami pięści lub paroma zręcznymi woltami w powietrzu rozwiązywał problem.

W tym pierwszym filmowym „Supermanie" z 1978 r. pomieszczono m. in. krótkie „curriculum vitae" Supermana-dziennikarza. Otóż, jako małe dziecko Kal-El został wysłany przez swego ojca Jor-Ela z odległej, skazanej na zagładę planety Krypton na Ziemię i w ten sposób pozostał przy życiu jako jedyny Kryptonita. Znalazła go po wylądowaniu na naszej planecie para amerykańskich farmerów. Z biegiem lat usynowiony przez nich przystojny Clarke Kent ukończył gimnazjum w miasteczku Smallville a potem został dziennikarzem. Nikomu — oczywiście — nie mówiąc o swoich nadludzkich właściwościach i możliwościach... Taki oto jest punkt wyjścia do całej serii niezwykłych przygód Supermana w trzech kolejnych filmach.

Trzeba odnotować, że, niestety, już pierwszy „Superman" nie zyskał uznania w oczach krytyki: pisano o nim jako o rozrywce „odmóżdżającej", nazywano go filmem „debilnym", krytykowano za traktowanie postaci i przygód bohatera „śmiertelnie serio" przez twórców filmu. Może dlatego reżyserię następnych dwóch filmów o Supermanie powierzono człowiekowi o niewątpliwym zacięciu satyrycznym, wsławionemu przede wszystkim filmami o Beatlesach, Richardowi Lesterowi. Poprowadził on „Supermana II" i „Supermana III" po linii bardziej komediowej, spoglądając z tzw. „przymrużeniem oka" i z „dystansem" na akcję dziejącą się na ekranie. Niezbyt to chyba pomogło, a w każdym razie filmy o Supermanie zostały bez trudu zdystansowane przez kolejne filmy „gwiezdne" reżyserowane lub produkowane przez Spielberga i Lucasa.

M. D.

— 17 —

— Widzę, że cię to nie przekonało — powiedział Kuba z goryczą. — Mogę mówić dalej. Czy pamiętasz, jak byliśmy kiedyś na meczu piłkarskim? Był piekielny tłok; siedzieliśmy na trybunie, ściśnięci między ludźmi jak śledzie, i po którymś tam golu zauważyłaś, że zginął ci zegarek. To był taki śliczny, mały „Tissot" z kwadratowym szkiełkiem. Wstaliśmy z miejsc i szukaliśmy tego zegarka. Ale nie znaleźliśmy go. I nic dziwnego: był w mojej kieszeni, Krystyno. A czy pamiętasz, jak kiedyś, w twoim domu, zginęła ci taka śliczna broszka ręcznej roboty, którą dostałaś od swojej babki? I pamiętasz chyba, że to ja poradziłem ci, żebyś zwolniła tę starą, biedną kobietę, która przychodziła ci sprzątać. Ty jesteś delikatna, Krystyno, i prosiłaś mnie, żebym to ja załatwił tę przykrą sprawę. I ja wziąłem tę staruszkę na rozmowę i powiedziałem jej: „Kto inny by panią podał do sądu, ale moja narzeczona prosi tylko, żeby pani do niej więcej nie przychodziła na posługi..." A potem powiedziałem do ciebie: „Kocham twoją szlachetność, Krystyno. Ja nie wiem, czy sam tak bym postąpił na twoim miejscu: złodziejstwo trzeba karać jak najsurowiej". I czy ty wiesz, że ta biedna starowina przez rok potem przychodziła tu, do mnie, i spłacała mi ten dług za broszkę, bo bała się, że mimo wszystko podamy ją do sądu, a jak każdy prosty człowiek, bała się tej instytucji śmiertelnie? Pamiętasz?

Kiwnęła głową; patrzyła na niego z zimną, zjadliwą pogardą. Roześmiał się.

— Dosyć już tego — powiedział. — Sama wiesz, że tak się musi stać. Cieszę się tylko, że jesteś przy mnie w tej chwili. Bałem się umierać samotnie, choć wiedziałem, że nadejść musi ta chwila, kiedy ja sam sobie będę musiał powiedzieć: „No, Kuba, dosyć tych głupstw". I ty chyba sama wiesz, że to już dość. Tak? Tak czy nie?

Kiwnęła głową; patrzyła na niego poważnie i ze smutkiem pełnym zrozumienia.

— Widzisz — powiedział. — Teraz ja to zrobię, a potem ty pójdziesz. Co mam ci powiedzieć na pożegnanie? Boję się słów, Krystyno, tyle słów już powiedziałem... Powinienem ci powiedzieć, że nikogo nie kochałem tak jak ciebie czy coś w tym rodzaju, prawda? Wiem, wiem. Wy, kobiety, jeśli odchodzicie do innego, o którym wiecie, że będzie wam z nim dobrze, wtedy mówicie do nas: „Zawsze będę o tobie pamiętać. Zawsze będę cię kochać i myśleć o tobie; będziesz najpiękniejszym snem mojego życia, które od dzisiaj stanie się puste i bez treści. Przeżyliśmy więcej niż inni ludzie. Moje życie będzie ustawiczną tęsknotą za tobą..." I tak dalej. Powiedzieć ci coś takiego?

Milczała.

— Dobrze — twardo powiedział Kuba i pochylił się tuż do jej twarzy. — Powiem ci wobec tego prawdę. Będą to pierwsze słowa prawdy, jakie usłyszałaś ode mnie. To zaboli, ale jak chcesz... Nienawidzę jednego tylko człowieka. Ty nim jesteś. Nienawidziłem cię przez cały czas, od chwili kiedy pierwszy raz przyprowadziłaś mnie tu zalanego z miasta i przez litość położyłaś się koło mnie. Nienawidziłem twojej litości, twojej dobroci, wyrozumiałości, twoich dobrych słów... Wiedziałaś dobrze, że pewnego dnia polecę na łeb, na szyję. Wyciągałaś mnie do światła, którego nigdy nie zobaczę. Wskazywałaś mi nadzieję, która nigdy nie mogła stać się rzeczywistością. Stale wkraczałaś w moje piekło, z którego nie miałem ucieczki, i stale wpychałaś mnie w to wszystko z powrotem. Ty biedna, głupia dziewko. Czy nie rozumiałaś tego nigdy, nie czułaś tego nigdy, jak strasznie cię nienawidzę?

Wstał i kopnął krzesło. Dzień nadchodził; prostokąt okna jaśniał już mdłym światłem. Kuba podszedł do okna i oparł się o parapet. Ulicami pędzili już przechodnie, zgrzytały tramwaje; piszcząc oponami po mokrym asfalcie, przemykały samochody. Niebo było ciężkie i pełne zimnych mgieł; znów padał deszcz ze śniegiem. Na wieży pobliskiego kościoła począł bić zegar; Kuba liczył uderzenia.

— Osiem — powiedział głośno, kiedy umilkły żelazne dźwięki. — No, Kuba, Kuba...

Rozejrzał się po pokoju. Uważnie oglądał każdy sprzęt, każdy kawałek ściany; nagle wzrok jego padł na aparat telefoniczny. Chciał się uśmiechnąć, spojrzał nagle w lustro i zobaczył na swojej twarzy przerażający grymas. Wtedy podszedł do ściany i jednym szarpnięciem wyrwał sznur z małego pudełeczka; osypało się nieco tynku. Potem począł szarpać czarną skrzynkę; obtarłszy sobie wewnętrzną powierzchnię dłoni, wyrwał wreszcie sznur. Na jednym jego końcu zacisnął pętlę. Szybko przeszedł z nią do przedpokoju i znów patrzył uważnym wzrokiem, oglądając sufit i ściany. Nareszcie dostrzegł rurę gazową; licznik zainstalowany był w przedpokoju. Wskoczył na krzesło i koniec sznura przywiązał do rury. Narzucił sobie pętlę na szyję i chwilę stał oszołomiony szybkością i precyzją swych poczynań. Nagle zobaczył, że z ciemności patrzą na niego oczy Krystyny. Wyciągała ku niemu ręce i mówiła coś, poruszając bezgłośnie wargami.

— Mów głośniej — powiedział drżącym głosem.

— Mów głośniej, nie słyszę cię... — Patrzył na nią w skupieniu, a po chwili roześmiał się. — Jeszcze raz? Jeszcze raz od początku? Nienawidzę cię, ścierwo — krzyknął.

Zdjął pętlę i zeskoczył; podbiegł do stołu i przystawiając usta do jego krawędzi, wychlepał rozlaną kałużę. Był znowu silny, bardzo silny i nagle poczuł, że będzie mógł raz jeszcze walczyć ze światem — miażdżyć przeszkody, pracować, kochać i żyć czystym życiem człowieka.

Wtedy usłyszał trzy dzwonki. Zadrżał jak porażony prądem; twarz jego skurczyła się żałośnie. Znów zabrzmiały trzy dzwonki. Histerycznie załkał i zasłonił oczy rękami. Dzwonek nie przestawał jęczeć.

— Znów dzwonią, Krystyno — wybełkotał zbielałymi wargami. — Znów dzwonią, najdroższa...

Szybko wybiegł do korytarza. Wskoczył na krzesło i założył pętlę na szyję. Raptem dzwonek umilkł. Kuba odetchnął; nagle uczuł szczęście, ta ogromne szczęście, jakiego nigdy w życiu nie zaznał i nie przeczuwał. Już chciał zejść, lecz ciszę korytarza przecięły trzy krótkie, jakby umówione dzwonki. Wtedy przysłonił oczy i z całej siły odepchnął krzesło nogami.

1956

Poczta literacka

Katarzyna W. Łęczna. Wiersze, które Pani przysłała zachęcają do poznania innych. Niech Pani nadeśle większą porcję, przeczuwam, że nie stracę czasu.

Jerzy K. Strzepcz. To samo. Chciałbym także wiedzieć czym się Pan zajmuje, czy już debiutował?

Ewa W. Biała. Zwykle popadam w zniecierpliwienie. Usposabia mnie do tego nadmiar słowolejstwa w utworach, którym tak daleko do poezji. W dzisiejszej poczcie po raz trzeci odczuwam niedosyt, trudność zorientowania się, czy mam do czynienia ze zgrabną paplaniną, czy jednak z czymś lepszym. Muszę poznać więcej wierszy, aby coś pewniejszego Pani odpowiedzieć.

Dariusz P. Lublin. Wiersze Pańskie są rozgadane, stanowią jakby małe opowieści. Część z nich równie dobrze mogłaby przybrać formę prozy poetyckiej. Klarowność idei, jakie Pan usiłuje przedstawić, zaciemnia wyzierający wszędzie mistycyzm. Oczywiście i nim karmić się może poezja, ale do jego owocnego spożytkowania trzeba więcej doświadczenia. Jak mi się zdaje, brakuje go Panu jeszcze. Niech Pan nie traci kontaktu z nami.

Anita G. Kraków. Cechuje Pania (czy rzeczywiście chodzi tu o autorkę?, w nadesłanych utworach tak wiele męskiego zaimka osobowego!) duża spostrzegawczość, szczegółowość w obserwacji otoczenia. Niejeden reporter tej właściwości mógłby Pani zazdrościć. To budzi zainteresowanie, ale forma jest odległa od poezji. Sam układ graficzny nie sprawia, że mamy do czynienia z wierszem.

T. J.

OGŁOSZENIA DROBNE

Mikrokomputer SPECTRUM — sprzedam. Lublin 228-34.

16394/G

Zgubiono prawo jazdy nr 19695/82 wydane na nazwisko Danuta Wierzbicka.

17208/G

Duży błam z norek — sprzedam. Lublin, tel. 55-49-73.

16325/G

KRZYŻÓWKA NR 13 Z SZYFREM

Poziomo: 3. dren, 5. szeroka droga, 8. dzieło plastyka, 11. flaga, sztandar kawalerii, 12. posłannictwo, 13. jedno w atomie, 14. księżowski kołnierzyk, 17. powieść Meissnera, 19. stan w USA, 20. paliwo z ropy naftowej, 21. Ajwazowski namalował dziewiata, 22. pogoda, 24. Persja, 26. mierzy się go w omach, 27. poemat Gałczyńskiego, 28. wolny czas, 29. pałac, 31. kwiat nieużytków, 33. w oponie, 34. nie-poezja, 35. uznaje prawo za niewzruszoną zasadę, 36. tłok, 37. magazyn, 38. miasto wojewódzkie.

Pionowo: 1. partner w dialogu, 2. nacisk, 3. brązowo cętkowane ptaki naszych parków, 4. uprzejme wezwanie, 6. prawda, 7. wiązanie narciarskie, 9. dyskiem lub oszczepem, 10. roślina na kaszę i pędzle do wapna, 15. dawny przyrząd astronomiczny, 16. z nich piec, 18. zamknięcie włazu, 19. tłuszcz roślinny, 20. np. „Warszawianka", 23. organ prasowy PPS, 25. drewno na lufie karabinu, 28. uzdrowisko na ziemi kłodzkiej, 29. silne osłabienie i uczucie zamierania, 30. wielki tłum, 31. georginia, 32. żywopłotowy krzew różowaty.

Szyfr

14, E1, A10, F5 / A7, N5 / F1, C12, A5, F14, O4, L15 / I14, A9, M11, H8, J1 / F8, D2, L2 / L10, F17 / A3, I5, E5, H14 / K9, J16, O2, C7, K17, I10 / M12, D17 / K7 / N13, O10, F16, K8, I6, O13 /D15, G7, G14, I12, N17, K3 //

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
A	1	■	2	■	3			4			■	5	6		7		■
B	8					■	■		■	■	9	■		■		■	10
C		■		■	11									■		■	
D	12					■	■		■	■		■	13				
E		■		■	14					15		16		■		■	
F	17			18		■	■		■		■		■	19			
G		■	■		■	20					■	21				■	■
H	22		23		■		■		■		■		■	24			25
I	■	■	26				■	27					■		■	■	
J	28				■		■		■		■	■	29		30		
K		■		■	31		32							■		■	
L	33					■		■	■		■		34				
M		■		■	35									■		■	
N		■		■		■		■	■		■	■	36				
O	■	37					■	38						■		■	

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 11 Z SZYFREM

Poziomo: konsternacja, okoń, pak, Alla, azot, Ożarów, Ksenofont, edyl, impas, iskra, nece, wskazanie, Neapol, wosk, trad, Barcz, idy, wieś, kasztanowiec.

Pionowo: kontredans, straż, przyroda, zabawka, zapaśnik, foka, molo, roślina, zło, flaneła, nauczyciel, plastyka, sztandar, Mendoza, kęs, obłok, Ohio, kiść.

Szyfr

Nie może być uwieńczony pomyślnym wynikiem żaden wysiłek nie kierujący się prawdą.

Charles de Gaulle
Pamiętniki wojenne

Nagrodę wylosowała Aleksandra Urbańska, 33-100 Tarnów, ul. Wiejska 2 m. 36.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik. Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Barbara Caban

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 8, tel. 255-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93 sekretarz redakcji 218-93 dział publicystyki i literacki 275-35

Korespondencję zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1139/85. 11.06.85 r. L-4.

● Grażyna Pula z Polubicz jedzie na wczasy do Burgas

● Piotr Płaskociński już odebrał telewizor

NASZ KONKURS ROZSTRZYGNIĘTY

Ambasador LRB Georgi Georgijew gościem „Kameny"

ŚRODA, 19 czerwca br., godz. 17.30. Do Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy przy ul. Leonarda w Lublinie przybywa ambasador Ludowej Republiki Bułgarii, **Georgi Georgijew**. Towarzyszą mu organizatorzy konkursu — dyrektor Bułgarskiego Ośrodka Kultury i Informacji w Warszawie, **Ognian Todorow** oraz przedstawiciele kierownictwa lubelskiego oddziału Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej i redakcji „Kameny". W kawiarni klubowej — ponad 50 uczestników konkursu. Na konkurs ostatecznie wpłynęło 511 odpowiedzi w terminie regulaminowym i 48 — po, które nie były już rozpatrywane, zwłaszcza że termin i tak został przedłużony. Odpowiedzi nadeszły dosłownie z całej Polski — od Świnoujścia do Zakopanego, od Zielonej Góry do Chełma. Najliczniej reprezentowany był nasz region, głównie Lublin i Chełm, ale także woj. bialskopodlaskie a zwłaszcza okolice Wisznic, gdzie w miejscowym LO im. PKWN prężnie działa Koło Tow. Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej.

Po wstępnych informacjach nastąpiło ogłoszenie prawidłowych odpowiedzi. Z braku miejsca podajemy je bez cytowania pytań (ogłosiliśmy je w n-rze 9 (829) z 9 maja br.) Oto one:

1. Chan Asparuch, 2. 865 r. (864 lub 866 — też odpowiedzi prawidłowe), 3. Cyryl i Metody, 4. 1878 r. (3 marca), 5. Plewen, 6. lekarze, 7. 1923 r. (wrzesień), W. Kolarow, G. Dymitrow, 8. B. Popow, W. Tanew, 9. Front Ojczyźniany, 10. gen. W. Stojczew, 11. Dora Gabe, 12. najczęściej: Warszawa—Sofia, Kraków—Wielkie Tyrnowo, Poznań—Płowdiw, Gdańsk—Warna, Szczecin—Burgas, Lublin—Plewen, Toruń—Ruse, Łódź—Gabrowo, Bydgoszcz—Sliwen, Legnica—Stara Zagora, Zamość—Tolbuchin, Kielce—Szumen, Łomża—Widyń, Rzeszów—Błagojewgrad, Częstochowa—Pernik, 13. Burgas, 14. Szeged (Szegedyn), G. Cesarini — nuncjusz (Eugeniusz IV — papież lub biskup Oleśnicki), Władysław III Jagiellończyk, 15. Michał Czajkowski (sadyk Pasza), 16. 11 razy, 60 (100) razy, 100 (200) razy, 17. 450 (375) mieszkańców, 69 (81) mieszkańców, 18. Pliska, Presław, Wielkie Tyrnowo, 19. Borowec (Pamporowo), Musała, 20. Iskyr, 21. sportowiec, aktorka, reżyser, pisarz, piosenkarka, 22. Ludmiła Żiwkowa, 23. potrawa mięsna (kotleciki z siekanego mięsa podłużnego kształtu), zabawa obrzędowa (przebierani jej uczestnicy), gospoda ludowa w podziemiach domu (karczma, zajazd), winogrona, dom, 24. „Potop", 25. 35 lat.

Tak brzmią poprawne odpowiedzi. Niektóre jednak z pytań wymagają szerszego komentarza, a to przede wszystkim w sytuacjach, gdy źródła dopuszczają wieloznaczność.

W pytaniu 2, dotyczącym roku przyjęcia chrztu przez Bułgarię, wymieniane są trzy daty: 864, 865, 866. Każdą z nich uznawaliśmy, mimo najlepszego udokumentowania historycznego drugiej. Przy pytaniu 9 w kilku przypadkach podawano różne odpowiedzi, np. Bułgarską Partię Robotniczą, armię bułgarską. W pytaniu chodziło o to, jaka organizacja grupowała postępowe siły Bułgarii, które obaliły rząd profaszystowski i utworzyły nowy. Był to właśnie Front Ojczyźniany, grupujący obok komunistów bułgarskich także inne siły społeczne. Sugestia, iż owe siły zawężały się tylko do Bułgarskiej Partii Robotniczej czy jakiejkolwiek jednej innej wchodzącej w skład frontu jest po prostu nieprawdą.

W pytaniu 14 zdarzało się, iż wymieniano Adrianopol (Edirne) jako miejsce zawarcia korzystnego pokoju między Władysławem III Jagiellończykiem, a Turkami, przed fatalną w skutkach bitwą pod Warną. Jeśli ów Adrianopol wymieniany był alternatywnie z Szegedem — uznawaliśmy taką odpowiedź. Wystarczyło jednak sięgnąć do którejkolwiek encyklopedii, by uzyskać informację prawdziwą. W Adrianopolu istotnie podpisano traktat, ale nie Warneńczyk był tu stroną (a Rosjanie po pokonaniu Turków a.D. 1829); o Bałkanach rzeczywiście była w nim mowa.

Pytanie 16 dopuszczało pewną dowolność wyboru wariantu odpowiedzi, zależnie od źródła oraz roku danych. Dotyczyło to stopnia wzrostu produkcji przemysłowej i produkcji energii elektrycznej. Dlatego uznawaliśmy zarówno odpowiedzi wskazujące na 60- jak i 100-krotny wzrost produkcji przemysłowej oraz 100- i 200-krotny wzrost produkcji energii elektrycznej. Nie upieraliśmy się także przy danych dotyczących (pyt. 17) liczby mieszkańców na jednego lekarza i studenta, uznając w pierwszym przypadku liczby: 450 lub 375, a w drugim: 69 i 81.

Pytanie 19, dotyczące, w części, zimowej stolicy Bułgarii, też potraktowaliśmy fakultatywnie. Uznaje się za nią Borowec, choć niektórzy wymieniają Pamporowo (różnica jak między Zakopanem a Karpaczem). Tak też podawali nieliczni odpowiadający, a my — uznawaliśmy.

W pytaniu 24 zdarzały się obok poprawnej odpowiedzi, iż w Bułgarii nie kręcono „Potopu", także inne. Jeśli podawano je wraz z „Potopem" — uznawaliśmy. Błędy były jednak w tym pytaniu rzadkie.

Kolejnym punktem imprezy, kulminacyjnym, było losowanie nagród. Z sali „wylosowano" najpierw 6-letniego Andrzeja Koselę, który z wazonu przekształconego w urnę wyciągał numerki z losami. Uprzednio komisja oznaczyła numerkami kupony z poprawnymi odpowiedziami.

A oto laureaci:

I nagrodę, wyjazd na wczasy do Bułgarii zdobyła GRAŻYNA PUŁA (21-225 Polubicze, woj. bialskopodlaskie), II nagrodę (obecny na sali) PIOTR PŁASKOCIŃSKI (20-345 Lublin, Elektryczna 61 m. 30).

Piotr Płaskociński wylosował telewizor „Neptun", 6-letni Andrzej Koseła ciągnął kupony.

A ponadto: akwarelę Józefa Tarłowskiego „Monastyr Rylski" wylosowała CZESŁAWA KOWALSKA (22-100 Chełm, I Armii WP 25 m. 5), zaś grafikę tegoż autora STEFAN KUSZPA (20-138 Lublin, Modrzewiowa 22). Serwisy ceramiczne wylosowali: DOROTA LESZCZYŃSKA (21-225 Wisznice, Rynek 15a) oraz RAFAŁ KUŚMIERCZYK (20-144 Lublin, Warskiego 4 m. 88).

Szczęśliwymi posiadaczami albumów krajoznawczych i albumów z reprodukcjami malarstwa bułgarskiego zostali: JERZY PLIS (20-532 Lublin, Gościnna 7 m. 28), ANNA JAKUBIAK (26-600 Radom, Prądzyńskiego 7 m. 13), KATARZYNA KANDELA (26-600 Radom, Srebrna 5, os. Halinów), JERZY BUTRYŃSKI (Lublin, Kniewskiego 2 m. 9) i MARIAN J. KAWAŁKO (20-468 Lublin, Kruczkowskiego 18 m. 33).

Skórzaną torbę damską wylosowała TERESA MARYNIOWSKA (20-077 Lublin, Jasna 8 m. 7). Natomiast zestawami płyt podzielili się: HENRYK MAKARSKI (ZLP, Lublin), GRAŻYNA PIEŃKO (Radzyń, Bulwary 3 m. 33), JOLANTA PALUCH (22-100 Chełm, 22 Lipca 2 m. 204), JOLANTA GAŁKOWSKA (60-212 Poznań, Rutkowskiego 5 m. 4), ROBERTA SKRZYPEK (22-300 Krasnystaw, Wysockiej 62a), BARBARA CZERWONKA (20-246 Lublin, Niepodległości 10 m. 37).

Roczną prenumeratę „Panoramy Bułgarskiej" na 1986 r. wylosowali: JÓZEF MIŁOSZ (Kazimierz, Rynek 2, kino „Wisła"), DOROTA ANDRZEJUK (21-533 Rossosz) i LEOKADIA BRYJA (46-250 Wołczyn, Batalionów Chłopskich 21).

Roczną prenumeratę „Kameny" na 1986 r. wylosowali: WIESŁAWA JAKUBIAK (26-600 Radom, Prądzyńskiego 7 m. 13), BEATA KARWACKA (21-533 Rossosz, Róży Luksemburg 64) oraz KRYSTYNA BARTYNA (20-035 Lublin, Langiewicza 20F).

Serdecznie gratulujemy! Warto też dodać, że wszyscy, którzy znaleźli czas na przyjście do KMPiK-u, otrzymali nagrody pocieszenia: przewodniki, mapy, książki o Bułgarii i pozycje bułgarskich autorów.

Wszystkich laureatów, którzy nie odebrali nagród na miejscu po losowaniu, prosimy o szybkie skontaktowanie się z redakcją i dyspozycję odnośnie nagrody (wysyłać czy odbiorą sami). Naturalnie byłoby nam bardzo miło gościć zwycięzców w „Kamenie". Doradzalibyśmy tę formę odebrania nagrody zwłaszcza posiadaczom nagród łatwych do zniszczenia w transporcie: prac graficznych (n.b. oprawnych w szkło), ceramiki... Laureatkę nagrody głównej, Grażynę Pułę, zapraszamy szczególnie serdecznie, bowiem chcielibyśmy bliżej przedstawić ją Czytelnikom przekazać adres gratulacyjny informujący o zwycięstwie i sposobie realizacji wyjazdu (m.in. kontakt z biurem podróży).

Ambasador LRB Georgi Georgijew wrzuca kupony do „urny". Pierwszy z lewej Ognian Todorow.

Kończąc część oficjalną, ambasador LRB Georgi Georgijew zwrócił się do wszystkich uczestników spotkania:

— Gratuluję wszystkim wyróżnionym i wszystkim uczestnikom, którym szczęście nie dopisało. Myślę jednak, że zgodnie z dewizą olimpijską, najważniejszy był start w tym pięknym konkursie, a nie wymierne korzyści materialne nagrody, których wartość jest policzalna. To, co zobaczyłem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania, bowiem spodziewałem się konkursu o charakterze lokalnym, a widzę, że była to sprawa ogólnopolska, co zresztą i my odczuliśmy na własnej skórze. Dzwoniono do nas z całej Polski i proszono o pomoc. Nie macie chyba za złe, że ambasada od czasu do czasu coś podpowiedziała... Pytania były bowiem trudne, zmuszające do szperania w materiałach źródłowych, stymulujące do rzeczywiście czynnego udziału w ich rozwiązywaniu. W ten sposób podniosły niewątpliwie stan wiedzy o naszym kraju.

Nie mogę też nie wyrazić słów uznania dla lubelskich działaczy Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej, którzy konkurs inspirowali i przeprowadzili. Inicjatywy lubelskich przyjaciół Bułgarii są wysoko cenione przez ambasadę LRB, jak i władze bułgarskie. Z całego serca życzę wam dalszych sukcesów w umacnianiu naszej przyjaźni, wzajemnego poznania i współpracy.

Czuję się w obowiązku wspomnieć także o redakcji, która przyjęła na siebie trud organizacyjny i popularyzatorski konkursu. „Kamena" związana jest z bułgarską kulturą i jej najlepszymi, postępowymi tradycjami od 50 lat. Jeszcze przed wojną ukazał się numer „Kameny" poświęcony literaturze i poezji bułgarskiej, w którym prezentowano twórczość plejady naszych poetów i prozaików. Również dzisiaj problematyka bułgarska nie jest na łamach tego pisma obca, co wielce sobie cenimy.

Jeszcze raz wszystkim serdecznie dziękuję i życzę wszystkiego dobrego!

Końcowym słowom ambasadora towarzyszyło wniesienie na salę tac z kieliszkami najlepszego wina bułgarskiego, przy którym wszyscy zebrani rozmawiali — w bardziej bezpośredniej już atmosferze — o Bułgarii i sprawach z nią związanych. Postanowiono podobne imprezy organizować w przyszłości.

(p)

Teresa Maryniowska wylosowała torebkę skórzaną.

Fotografował: **Robert Lipski**